Nr. 12. Kraków, w grudniu 1902 r. Rok III.



Przodownica

Pismo
dla kobiet wiejskich
wychodzi w drugą niedzielę każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi:

rocznie . . . . 1 kor. | zagranicą . . . 1 marka
półrocznie . . . 50 hal. | pojedynczy numer 10 gr.

Adres Redakcyi: Szpitalna 7, II. p.

W dzień Bożego Narodzenia.

Jedną i tąsamą w życiu koleją przynosi nam rok za rokiem te same smutne i radosne wspomnienia, te same żałobne i chwalebne rocznice, które obchodzą uroczyście nietylko pojedynczy ludzie albo rodziny, ale narody i społeczeństwa, połączone wspólną religią. Do takich radosnych dni w roku, które jako pamiątkę dawno minionych zdarzeń święci Kościół chrześcijański, należy zbliżająca się uroczystość Bożego Narodzenia.

Przed dwoma tysiącami lat ludzkość cała była w oczekiwaniu tego światła, które miało rozprószyć ciemności, zalegające serca i umysły wszystkich. Oto światło przepowiedziane przez proroków, miało zejść na świat w postaci Boga wcielonego — malutkiego Dzieciątka — położonego na sianku i owiniętego w pieluszki — w stajence Betlejemskiej.

O zaprawdę! wielka i święta to noc, w której nad mizerną, cichą, stajenką lichą, staje gwiazda niezwykła, jak drogowskaz dla tych, co szukają Zbawiciela!

O zaprawdę! wielka i święta to noc, w której orszaki anielskie śpiewają ludziom dobrą nowinę o Nowonarodzonym i zwiastują: „Chwałę na wysokościach, a pokój ludziom na ziemi!“

O zaprawdę! wielka i święta to noc, w której między bydlęty złożonego Pana nad Pany — witają rzesze pastusze i przynoszą mu dary swe ubogie, ze serc kochających płynące!

Wszystkie obrzędy, związane w kościele z uroczystością Bożego Narodzenia, dążą do tego, aby nam przypomnieć wyraźnie ten dzień przyjścia na świat Pana Jezusa.

Z radością dążymy też w dni te świąteczne na nabożeństwo, i z pełnych serc wołamy: „Wśród nocnej ciszy — Bóg się rodzi — Chwała, chwała Bogu na wysokościach“.

Do serc naszych wstępuje od tego malutkiego Dzieciątka Jezus — jakaś moc i otu-

cha — pociecha i ukojenia. Wierzymy, że próśb naszych Ono wysłucha, że podniesie rączkę małą i błogosławiącą nad naszemi chatami i polami, naszemi wioskami i miastami i naszą całą Ojczyzną miłą. Wierzymy, że z rączki tej spłynie błogosławieństwo dla naszej pracy i trudów, naszych radości i naszych łez, których pełne mamy życie.

Więc też z sercami wzruszonemi głęboko, garniemy się do żłóbka, w którem spoczęło Zbawienie świata, garniemy się bogaci i ubodzy, mędrcy i prostaczkowie, oddając serca nasze Boskiej Dziecinie, oddając Jej nasze cele aby je uświęciła, nasze trudy, aby im ulżyła, nasze łzy, aby je otarła, wołamy serdecznie:

Ach! witajże pożądana perło droga z nieba!
Gdy świat cały upragniony anielskiego chleba...

WIGILIA

Równiny śniegiem zawiały,
Wiatr górę usłał wysoką,
Wązką ścieżyną nad jarem
Jacyś ubodzy się wloką...

Północ — pasterka — gdzieś dzwonią...
Śnieg pada coraz obficiej,
O! kędyż głowy swe skłonią
Starzec, niewiasta i dziecię?

Po chatach gwarno, wesoło,
Kolendy płynie śpiew błogi.
A na pustkowiu zawianem
Zbłąkani szukają drogi...

* * *

W odźwierz kołaczą... »Ach kto tam?!«
»Nocą — zagnani w manowce«
»Osłabli, drżący, zgłodniali«...
»Otwórzcie!«... proszą wędrowce.

»Wejdźcież — o dobrzy ludzie!«
Kto wchodzi... Czy też zgadniecie?
Biedna rodzina wchodzi:
Józef, Maryja i Dziecię...

A Dziecię rączkę podnosi,
Święte Dzieciątko Boże,
I mówi usty słodkiemi:
»Ja wam mój raj otworzę«...

W grudniu 1902. *A. Bandrowska.*

W wieczór wigilijny.

Aż dziwno było patrzeć na Maryśkę, taka wciąż smutna i ponura. To prawda, że przy pracy w polu dobrze się mozolić potrzeba, ale na nic wtedy żale i złości, bo tylko zdrowie zjadają. Wesołość przy robocie mocy jeno dodaje; tak się wydaje temu, co pracuje, i tym, co nań patrzą.

Ale nie dbała o to Maryśka Górnianka. Odkąd przybyła na robotę do Danii, nikt nie dojrzał uśmiechu na jej twarzy, nikt od niej pogodnego nie posłyszał słowa. Nawet trudno było zgoła jakie słowo od niej usłyszeć. Zapytywana — odpowiadała półgębkiem i aby zbyć tylko.

Roboty jednak pilnowała i dozorca chwalił jej pracę, mówiąc, że się jej w rękach pali. Był to Niemiec, słabo rozumiał po polsku, więc i nie wiedział prawie o milczeniu i smutku pilnej robotnicy.

Przybyła na majątek wraz z innymi, ale jej nikt nie znał, bo z innej wsi i innej parafii była.

Zrazu dziewczęta inne dopytywały się jej o dom i wieś, bo przecie rade wiedzieć, co ona zacz i czemu tak w pojedynkę wieś opuściła. Ale mało kto mógł się z nią dogadać. Chłopcy, co ich paru było w gromadce, dowcipkowali, że język jej zdrewniał z żalu za wsią i swymi chłopakami...

A mogłaby się podobać, gdyby nie miała tak posępnego wyglądu. I wzrost słuszny i twarz niczego. Oczy jednak nieprzyjemne i zapatrzone w dal, a usta odęte zrażały do niej teraz. Zdawało się, że w gniewie czy żalu, gotowa wszystkim złorzeczyć...

A jednak milczy, jakby w gniewie tym w kamień się zamieniła.

Kiedy przyjdzie święta niedziela i wszyscy po robocie tygodniowej odpoczywają, Maryśka gdzieś znika i po polach się wałęsa. Inne dziewczęta legną na łóżka i drzemią, albo gawędzą o wsi rodzinnej. To weselą się i dowcipkują, albo słuchają, gdy która z nich weźmie książkę i na niej co przeczyta. Rankiem siedzą wszystkie, co czytać umieją, nad »Wyborkami« i modlą się, czytając modlitwy jak przy Mszy

świętej. Inne, co czytać nie mogą, modlą się z pamięci i powtarzają ten sam wciąż pacierz.

Po południu słychać znowu w izbie robotniczej śpiewy donośne. Często która tam rozpocznie litanię do Matki Boskiej, a wtedy wtórują jej wszyscy, chłopcy i dziewczęta. I słychać pienia polskie, a Duńczycy przysłuchują się przez okna, nie rozumiejąc zgoła, co to znaczy.

A gdy przebrzmią wszystkie wzywania litanii; gdy już przeszli i »Wieżę Dawidową« i «Królowę korony polskiej«, dodając zawsze »Módl się za nami!« rozlegają się potem pieśni rozmaite, śpiewane przez wszystkich, albo tylko niektórych. I znowu Duńczycy słyszą śpiewy polskie, ale nie rozumieją, choć to takie piękne pieśni, jak: »Gwiazdo zaranna«, albo »Witaj królowo«, albo »Zdrowaś Marya«, »Serdeczna Matko«, »Boże coś Polskę« i inne. A potem to już chłopcy zaczną weselsze pieśni, pieśni światowe i tak wesoło kończy się niedziela, a po niej zacznie się nowy tydzień pracy.

A tuż opodal na skraju lasku niewielkiego, przytyka do łąki mała polanka. Spokojnie tam i zacisznie, tylko świergot ptasząt rozlega się do koła, a liście drzew niekiedy wtórują mu lekkim szelestem. Pod drzewem jednem stoi już czasu kawał dziewczyna i wdal patrzy, niby kogoś wyczekuje, co przyjdzie od łąki.

Patrzy tak Maryśka, ale oczy jej prawie nie widzą nic z tego, co mają przed sobą. Widzą one raczej coś we wspomnieniu, w myśli jej kędyś gdzieindziej.

Polanka ta bardzo podobna przecie do tej, na którą chodziła często we wsi rodzinnej. Chadzała jeszcze dzieckiem, gdy ojcu przypołudnik lub podwieczorek nosiła w pole; a potem niedawno jeszcze widywała się z Józkiem... I wspomnieniom tym oddana, spędza tak dziewczyna całe godziny niedzielne.

* * *

Ojciec! Józek! Te dwa wyrazy często wymawiają usta Marysine, bo to dwie osoby, które ona kochała i kocha.

Ojciec był dla niej bardzo dobry. Po śmierci matki zajmował się Maryśką, jak druga matka, a żenić się długo nie chciał, choć mu to nieraz radzono, ile że był człowiek stateczny, pracowity i wdowiec z jednem tylko dzieckiem. Bez majątku wprawdzie, ale pracy jego Pan Bóg błogosławił, i jakoś biedzie się bardzo nie dawał.

Dopiero po kilku latach wdowieństwa, poznawszy na odpuście jedną młodą wdowę, tak ją sobie upodobał, że wkrótce poprowadził do ołtarza. Mówił, że mu całkiem przypominała nieboszczkę żonę.

Maryśka tego podobieństwa pojąć nie mogła, choć już kilkunastoletnia. Macocha całkiem dla niej inną była i nie szczędziła sierocie przykrości, obmawiając przed ojcem.

Wkrótce i ojciec poznał, że się na swej wdowie omylił i często chodził na cmentarz, by się na los swój przed nieboszczką użalić, choć nic sobie tem nie pomógł. Przyzwyczajał się tylko do tych mogiłek, wśród których i sam spocząć miał kiedyś.

Los jego stał się jeszcze gorszym, od kiedy na tę żonę spadła fortuna po dalekim krewnym. Teraz przewrotna kobieta żałowała, że wyszła za wdowca bez majątku, bo mogłaby przecie teraz lepiej się za mąż wydać, gdyż ma fortunę.

Zlitował się Bóg nad ojcem Marysi i skrócił jego zgryzoty. Zmarł, osieracając córkę jedyną.

Marysia odczuła śmierć ojca, którego bardzo kochała. Teraz nikogo nie miała na świecie. Ale macocha nie dała jej dużo czasu na żale i jeszcze bardziej zapędzała do roboty.

Był we wsi Józek, co wrócił był z wojska niedawno i zaczął się do Marysi odzywać. Mówił jeszcze za życia jej ojca, że mu się podobała. Marysi też przypadł do gustu, a teraz po śmierci ojca czuła, że on jej może stać się przyjacielem i opiekunem przez całe życie...

Ale trudna to była sprawa, bo oboje nic nie mieli, a tu trzeba przecie trochę grosza na ślub, wesele i jakie takie sprzęty.

Uradzili oboje, że z wiosną pójdą na zarobki za granicę, a po powrocie, na jesieni, pobiorą się. Nawet Józek udał się z tem do Niemca, którego poznał był na jarmarku, jak umawiał ludzi. Umówili się i kontrakt oboje od Niemca dostali jeszcze przed Nowym Rokiem.

Ale wkrótce coś się z Józkiem zrobiło dziwnego. Mniej jakoś spotykał się z Maryśką. Przychodził nieraz, ale macocha ją wtedy na robotę albo z interesem jakimś z domu wyprawiała; on miał niby czekać, ale go już potem nie zastawała. Nawet i unikać jej zaczął...

Ludzie z ukosa na to patrzyli i zaczynali się już śmiać z sieroty, ale ona w pracy ciężkiej nie odczuwała tego i czekała chwili takiej, kiedy go nie przy macosze widzieć będzie mogła.

Chwila ta już nie nadeszła, ale co innego. Oto Józek rozważył sobie, że Maryśka nie ma nic, a macocha jej niezłą posiada fortunę, więc kochanie swe przeniósł na macochę, która chętnie się zgodziła wyjść za niego.

I ślub się odbył w same zapusty.

Trudno wypowiedzieć, co się działo teraz z Maryśką. Przedtem znosiła wszystkie udręczenia macochy z nadzieją swego szczęścia przyszłego. Teraz nadzieja ta znikła, a przed sierotą stanęła przepaść zawodu, zdrady i osamotnienia...

Ojciec zmarł — Józek ją zawiódł...

Czuła macocha, jak nikczemnie postąpiła, usidlając Józka i spokoju nie miała, patrząc na Marysię. Teraz stała się dla niej niby lepszą i doradzać zaczęła, by pojechała sama za granicę, to sobie zarobi pieniędzy, a potem los poprawi...

Ciężko było dla Marysi porzucać wieś; ciężko żegnać się z mogiłami rodziców — ale może tam na świecie szerokim znajdzie ukojenie...

Zawsze też milcząca i ponura, myśli o swych dawnych marzeniach i łudzi się niemi, choć czuje, że się nigdy już nie spełnią... Wie, że jest bardzo nieszczęśliwa, ale Józkowi źle nie życzy, bo go jeszcze kocha...

* * *

Czy to praca, co się jej w rękach paliła, czy zmartwienie i zgryzoty ciągłe, których opanować nie potrafiła, — dość, że Marysia w końcu lata jakoś podupadła na siłach i czuła wielkie zmęczenie. Nikt nie wiedział, co jej było, bo jak zawsze milczała, tak i nie skarżyła się nikomu. Raz jednak nie poszła do roboty i została w łóżku, bo już bardzo zesłabła. Gdy po paru dniach nie przyszła do siebie, odwieziono ją do szpitala.

Już roboty w polu się skończyły i gromadka robotników i robotnic polskich wraz z dozorcą-niemcem wyruszyła z powrotem. Marysię pozostawiono w szpitalu, skąd ją dopiero wypuszczono po paru tygodniach.

Osłabiona teraz, chciała wracać sama, ale znalazła służbę i została jeszcze. Została choć serce się jej rwało do wioski, do mogił rodziców, do Józka!

Do Józka wracać nie może, wszak on ma inną. I teraz znowu zamyślała się o dawnych latach, kiedy to snuła marzenia o swej przyszłości...

Coraz smutniejszą bywała, coraz ciężej czuła swe osamotnienie, a często wpadała w jakąś zadumę bez myśli żadnej. Nieraz tak robotę przerwie i przez godzinę nic nie robi, wpatrzona przed siebie, bez słowa i ruchu żadnego.

Zmiarkowano, że Marysia znowu jest chora i znowu ją oddano do szpitala. Tu po pewnym czasie lekarz uznał, że jest chora na umyśle i wysłał do szpitala waryjatów.

Niby trudno było nieraz dostrzedz jej chorobę. Najczęściej zamyślona, szeptała coś do siebie, rozmawiała z sobą, to rękami wymachiwała. Czasami przyszła taka chwila, że czuła gdzie jest i chciała iść do roboty, albo jechać do domu.

Zresztą nikt jej nie rozumiał, bo po duńsku nie umiała, a że była spokojna i cicha, więc jej nie zamykano, jak innych waryjatów. Chodziła niekiedy po korytarzu lub podwórzu szpitalnem, ale najczęściej stała godzinami całemi przy oknie lub siedziała przy swem łóżku...

* * *

Nadszedł dzień 24 grudnia. Wieczór tego dnia obchodzony jest radośnie w całym świecie chrześcijańskim, bo wszak to święci się pamiątka narodzenia Zbawiciela.

Marysia jakoś dowiedziała się o tem, a może tylko domyśliła się, że to wigilija Bożego Narodzenia. W umyśle jej zaćmionym zjawiły się wspomnienia z lat ubiegłych, dnia tego dotyczące. A szczególniej jak to było przed rokiem, kiedy rozmawiała z Józkiem, bo jeszcze się z nią spotykał...

Z pobliskiego kościoła odezwał się teraz dzwon rozgłośny, wzywając na nabożeństwo wieczorne. I w wiosce rodzinnej na głos dzwonu podobnego pospieszają na pasterkę.

Za głosem tego dzwonu idzie Marysia korytarzem i staje przy oknie otwartem. Zima tegoroczna dosyć łagodna, więc i okna się w korytarzach otwierają dla powietrza lepszego.

Wraz z powiewem wiatru mroźnego dochodzi ta piękna muzyka dzwonu, jednostajna, a tak pociągająca, bo tak silnie wspomnienia przyjemne ożywia. I zdaje się Marysi, że znalazła się w wiosce rodzinnej, że idzie do kościoła, że czeka na Józka, ale boi się macochy...

Mróz wciska się do korytarza. Posługacz otworzył okno na chwilę, ale zamknąć zapomniał przy dzisiejszym święcie. Marysia mrozu nie czuje, bo widzi w myśli swej chwile, kiedy to była dzieckiem, a ojciec żył jeszcze. Chwile te przesuwają się w jej pamięci, jak różnobarwna gwiazda kolędników; znikają, to powracają. A z dzwonami płyną nuty kolendy:

W żłobie leży
Któż pobieży
Kolendować małemu?...

Potem przychodzą inne słowa:

Przybieżeli do Betlejem pasterze
I zagrali Jezusowi na lirze...

To znowu silniej dzwony zadrgały jękiem jakimś... Ojciec trzyma opłatek a i Józek stoi koło niego. I łamią się opłatkiem, i życzą sobie... Teraz do niej podchodzą...

Skostniała w zamyśleniu tem, pochyla się naprzód, jak gdyby prędzej opłatek pochwycić pragnęła.

I chwytając tę ułudę wspomnień, wypada z okna na bruk twardy dziedzińca szpitalnego.

Łoskot spadającego ciała i jęk krótki zmieszały się na chwilę z głosem dzwonu, lecz wnet na podwórzu nastała cisza, tylko głos dzwonu rozlega...

* * *

Na dziedzińcu szpitalnym znaleziono Marysię bez życia. Skostniałe i zmrożone jej ciało było bardzo potłuczone, a kości połamane. Nieboga zapewne znalazła śmierć na miejscu i nie męczyła się długo. Wpatrzona w obrazy złudnej przeszłości, wsłuchana w dźwięki dzwonu wigilijnego, całym wysiłkiem myśli i fantazyi chorej, przeniosła się do tych miejsc, gdzie z narodzenia Pana cieszą się wszyscy. I cieszyła się w tęsknocie swej do dawnej radości, a zmarła w chwili, kiedy pragnęła życzyć szczęścia tym, których kochała...

* * *

Kiedy w gronie rodzinnem łamać się będziecie na znak braterstwa opłatkiem wigilijnym, wspomnijcie także o tych, co zdala od swoich przesyłają westchnienia do pól rodzinnych i karmią się wspomnieniami tego, co było dawniej...

Wspomnijcie o rodakach, co na obczyżnie przebywać muszą i westchnijcie za nimi serdecznie, by wszyscy do strzech ojczystych powrócić i doznać mogli chwil w życiu weselszych, niż Marysia Górnianka. *Wł. Kozłowski.*

BOŻE NARODZENIE.

Wyjątek z nowo wydanej książki pod tytułem: „Wśród dziejowej zawieruchy". Obrazy historyczne od 1758—1796 r. napisała M. Śleczkowska.

Julianek*) ze swojem licznem rodzeństwem wyczekiwał niecierpliwie świąt Bożego Narodzenia; bo ileż to z powodu świąt tych było dla dzieci miłych i radosnych chwil!

*) Powiastka ta opowiada o domu Niemcewiczów, których syn Julian Ursyn był za czasów rozbiorów Polski sławnym poetą i obrońcą Ojczyzny, walcząc wraz z Kościuszką za jej wolność.

Dzień przed wigilią Bożego Narodzenia służba dworska wychodziła na połów ryb, potrzebnych na jutrzejszą wieczerzę. Jakże niecierpliwie czekały dzieci na powrót rybaków! Nareszcie przybywali. Dzieci obskakiwały ceber z rybami. Podczas gdy pani Niemcewiczowa wydawała kucharzowi polecenia, w jaki sposób przyprawić ma ryby, dzieci radosnymi okrzykami wyrażały podziw nad pluskającemi się w wodzie rybami.

— Czy im w wodzie nie zimno? — pytała otulona futrzanym kubraczkiem Rózia.

— Dlaczego rybki otwierają buzie? — pytało któreś z dzieci.

— Może im się chce jeść? — zauważył mały, gruby Kajetanek, wyciągając do rybek rączkę, w której trzymał chleb z masłem.

Nim jednak dzieci odpowiedziały sobie na różne wątpliwości, ceber z rybami wyniesiono z wielkim żalem malców. Za to nazajutrz czekały je nowe uciechy! Trzymając się przyjętego wówczas obyczaju, ustawiano w stołowym pokoju we wszystkich czterech kątach ogromne snopy zboża. Dzieci od jednego do drugiego snopa biegały, przypatrywały się kolejno bujnym kłosom pszenicy, to znowu złocistemu żytu, lub najeżonemu wąsami jęczmieniowi, wreszcie dygocącym wiechom owsa. Oglądnąwszy snopy zboża, biegły do stołu, na który pod obrus posypano pachnącego siana. Gdy pierwsza gwiazda błysnęła na niebie, zbierali się goście i domownicy w stołowym pokoju około suto zastawionego stołu. Oboje państwo brali opłatek i łamali się nim ze wszystkimi, nie pomijając sług. Życzenia kończyły się zawsze temi słowy: Daj Boże, abyśmy przy dobrem zdrowiu doczekali przyszłego roku i łamali się znowu opłatkiem.

Po wymienieniu życzeń przy opłatku, zasiadano do stołu. Według przyjętego podówczas zwyczaju podawano trzy zupy: migdałową z rodzenkami, ta najbardziej smakowała dzieciom, barszcz z uszkami i zupę grzybową ze śledziem. Po zupie podano krążki z chrzanem, karpia z podlewą, szczupaka z szafranem, placuszki z makiem i miodem, okonie z posiekanemi jajami i oliwą i wiele jeszcze innych smakowitych potraw. Starsi pili przy wieczerzy węgrzyna. Po wieczerzy śpiewano kolendy.

Największa jednak radość śród dzieci była wtedy, gdy oznajmiono, że przyszli z Brześcia Litewskiego studenci z jasełkami lub gwiazdą. Studenci pokazywali jasełka, śpiewali kolendy, a dzieci słuchały i patrzyły i o mało im oczka nie powyskakiwały do lalek, poprzebieranych

za Dzieciątko Jezus, Maryę i Józefa, Trzech Króli, Heroda, pastuszków i aniołów.

Gdy się przedstawienie skończyło, ugaszczano studentów przybyłych z jasełkami, a dzieci żywo rozmawiały między sobą o jasełkach. Naraz jedno z nich zapytało: dlaczego to w wigilią Bożego Narodzenia odprawiają Mszę Pasterską w nocy?

A że między gośćmi państwa Niemcewiczów znajdował się ksiądz prowincyał jezuicki z Brześcia, więc na pytanie odpowiedział:

Kościół radosną pamiątkę Narodzin Chrystusa obchodzi nocnem nabożeństwem, o tej bowiem porze urodził się Chrystus w stajence betleemskiej, a ubodzy pasterze pierwsi przywitali Nowonarodzonego, niosąc Mu ubogie ale z serca płynące dary. Zwyczaj obchodzenia Mszy Pasterskiej w nocy zaprowadził na początku XIII. wieku św. Franciszek z Assyżu, założyciel zakonu Franciszkańskiego.

Święty Franciszek ukochał najbardziej ubogich, pragnął biedakom przychylić nieba. Dla nich właśnie urządził po raz pierwszy w noc Bożego Narodzenia Mszę Pasterską. Oczywiście otrzymał na to pozwolenie od Ojca świętego. Ażeby prostaczkowie zrozumieli łatwiej znaczenie nocnego nabożeństwa, Mąż święty urządził je w sposób dotąd niepraktykowany. Oto w leśnem ustroniu, w grocie kamiennej umieścił żłóbek ze siankiem, przy żłobie postawił wołu i osła. Wieczorem zajaśniała grota potokami światła, w niej odprawiono Mszę przy ołtarzu przenośnym. Na nocne nabożeństwo zgromadził się lud okoliczny.

Po Mszy bracia zakonni śpiewali nabożne pieśni, którym wtórował świergot ptasząt, przebudzonych jasnością i niezwykłym gwarem w lesie. Po nabożeństwie św. Franciszek opowiadał zgromadzonemu ludowi o tym ubożuchnym Królu, narodzonym w stajence i żyjącym w ubóstwie, dzieciństwo bowiem przeżył w domu ciężko pracującego na kawałek chleba cieśli, późniejsze życie przeszło Mu wśród rybaków. Opowiadał, że ubogich towarzyszy życia obdarował Chrystus skarbem drogocennym, bo nauczył ich cnoty, która przechodzi z pokolenia na pokolenie. Mąż święty zachęcał ubogie, pobożne tłumy do pełnienia cnoty, którą najbardziej przypodobać się można Betleemskiemu Dzieciątku.

Uroczystość, przypominająca żywo Narodzenie Chrystusa, sprawiła silne i głębokie wrażenie na pobożnej gromadce, zachwyciła prostaczków. Chcąc szerzyć ducha pobożności, zaczęto wszędzie naśladować św. Franciszka. Nie urządzano jednak Mszy Pasterskiej w lesie, lecz w kościołach. Święty Franciszek mógł urządzać Mszę Pasterską pod gołem niebem, pozwalał bowiem na to łagodny klimat włoski. Trudno jednak było myśleć o czemś podobnem w krajach, w których o tej porze roku jest klimat ostry, silne mrozy i śnieżne zawieje. Naśladując św. Franciszka, przedstawiano w kościołach, w czasie Bożego Narodzenia, żłóbek z Dzieciątkiem Jezus. Żłóbek otaczały żyjące osoby przedstawiające Najświętszą Pannę, Józefa staruszka, aniołów, pastuszków i Trzech Króli.

Z rozmowy i śpiewów tych osób dowiadywały się zebrane tłumy o rozmaitych szczegółach, odnoszących się do życia świętej Rodziny. To też te uroczystości podobały się i rozrzewniały, a co najważniejsze rozbudzały ducha pobożności w tłumach. Uroczystości te nazywano w cudzych krajach Misteryami, u nas Jasełkami.

A możeście ciekawi, skąd pochodzi nazwa Jasełek? — pytał ksiądz prowincyał. A że dzieci słuchały z wielkiem zajęciem, w milczeniu, więc tak prawił dalej:

W niektórych miejscowościach Rzeczypospolitej nazywają żłoby jasełkami. Od owego mizernego żłóbka czyli jasełek poszła nazwa miłej dla was uroczystości. A skoro moje opowiadanie zajmuje was, miłe dziateczki, to wam jeszcze opowiem o sławnych Misteryach odprawianych w dalekim od nas kraju, bo w Niderlandach, a odprawiano je dawno, bardzo dawno, bo w XVI. wieku. W księgach starych pozostał opis pamiętnych Misteryów, więc go wam powtórzę.

Oto podczas Mszy Pasterskiej, śród pobożnych tłumów zjawił się kogut, ale był to kogut niezwykle wielki, bo większy od Julianka. Kogut ów nie tylko wielkością zadziwił wszystkich, ale i dźwięcznym głosem, podobnym do piania. Pianiem nie rozdzierał uszów słuchaczów, owszem zrobił im przyjemną niespodziankę, piejąc kolendę poczynającą się od słów: »Dziecię się nam narodziło«.

— Czy to prawda? Czy to być może? — wołały naraz wszystkie dzieci.

— Wszakże takich wielkich kogutów nie ma! — mówiło jedno.

— Wszakże koguty nie umieją śpiewać! — dodało drugie.

Ksiądz prowincyał uśmiechał się, rozweseliło go zaciekawienie malców, nie odpowiedział jednak zaraz, lecz zażył tabaczki, wyczekał jeszcze chwilkę, poczem rzekł wesoło:

Macie słuszność mówiąc, że takich olbrzymich kogutów nie ma na świecie. Ten zaś, który was tak zaciekawił, był zrobiony z tektury, ale tak dobrze, że wyglądał, jak żywy.

— Ależ jak zrobiony kogut mógł śpiewać? — pytało któreś z dzieci.

— W tekturowym kogucie siedział chłopczyk i on to głosem podobnym do piania odśpiewał ślicznie kolendę — odpowiedział ksiądz.

— Oj! chcielibyśmy tego koguta widzieć!— wołały dzieci.

— O! ja zarazbym wlazł do środka i piałbym Rózi za uchem! — mówił wesoły Julianek.

— No, no! uciszcie się małe gawrony, a opowiem wam coś ciekawszego.

Obietnica księdza prowincyała uciszyła odrazu malców, wszyscy zwrócili ciekawe oczka na księdza, a on opowiadał, co następuje:

Gdy ów cudowny kogut oznajmił, że Chrystus się narodził, śpiewak siedzący w stucznym wole zaryczał: Gdzie? gdzie? gdzie? Cztery owieczki, odpowiadając na pytanie wołu, beknęły: W Betleem! w Betleem! Wtedy śpiewak, siedzący w sztucznym ośle, zarżał: Chodźmy tam! chodźmy tam!

Po tych słowach wszyscy obecni w kościele ruszyli długą procesyą, a obszedłszy kościół naokoło, zbliżyli się do żłóbka, aby powitać Dzieciątko Nowonarodzone.

— Ach! jak to musiało być ślicznie! — wołały zachwycone dzieci.

— A jak to był zrobiony wół, w którym siedział śpiewak? — pytał Kajetanek.

— W owieczkach musieli siedzieć chłopcy?— pytał Julianek.

— Czy osiołek był ze skóry, czy z tektury? — pytała Teklunia.

Ksiądz prowincyał nie potrafił dać wyczerpującej odpowiedzi dzieciom, niezmordowanym w stawianiu pytań, to też pomijając wszystkie milczeniem, mówił dalej:

W Jasełkach urządzanych u nas po kościołach przedstawiano nietylko Boże Narodzenie, ale i rozmaite chwile z życia Chrystusa. Urządzaniem Jasełek zajmowali się bakałarze*) i organiści. Oni to dla uprzyjemnienia widowiska układali wesołe a czasem nawet rubaszne kolendy. Przedstawienia religijne, urozmaicone wesołemi kolendami, przywabiały tłumy ludzi, którzy tak dobrze zabawiali się, iż zapominali, że są w kościele i śmiali się z całego gardła. Czasami bywał tłok tak wielki, że służba kościelna przy pomocy szturchańców wypraszała widzów z kościoła. Przy takiej okazyi przychodziło często do bójki. Sceny takie nieprzyzwoite, gorszące, były prawdziwą obrazą Boską i zniewagą przybytku Pańskiego. To też biskupi zakazali podobnych widowisk w kościele. Dziś urządzają wprawdzie w przybytkach Pańskich Jasełka, jednak nieruchome, przedstawiające św. Rodzinę w szopie.

Ludziska jednak tak przywykli do ruchomych, wesołych Jasełek, że trudno im było bez nich się obejść. To też paupry lub ubodzy studenci dogadzając upodobaniom starszych i młodszych, chodzą od domu do domu z Jasełkami i śpiewają ku waszej uciesze. Prawda? zakończył pytaniem ksiądz prowincyał.

— Prawda! — odpowiedziały wszystkie naraz dzieci. — Ale szkoda, że oni nie urządzają takich sztucznych Jasełek jak w Niderlandach — dorzucił Julianek.

— Mało ci się zachciewa! — rzekł, śmiejąc się ksiądz prowincyał. Na takie sztuczne urządzenia nie stać ubogich studentów.

— Moi malcy nadużywają dobroci księdza prowincyała i gotowi go zanudzić — mówiła, wchodząc do pokoju pani Niemcewiczowa. — Prosimy teraz księdza dobrodzieja do towarzystwa starszych.

— O! ja się nie nudził — zaprzeczył ksiądz.— Ja kocham tych maluczkich.

*) Bakałarzami nazywano dawniej nauczycieli.

OD REDAKCYI.

Oto podajemy Wam dziś, Drogie Czytelniczki, ostatni numer gazetki w roku bieżącym i kończymy nim trzechletni okres wydawnictwa *Przodownicy*. Z radością w sercu przyznać musimy, że należne dobrym chęciom i pracy naszej uznanie a poparcie, obficie znalazłyśmy u Was. Kobiety polskie, dla których pisemko nasze wydajemy, coraz bardziej garną się do niego, rozumieją bowiem, jak potrzebną jest dla nich tego rodzaju gazetka, która i poucza, i rozwesela, i otuchę w serca zbolałe wsączyć umie i dobrą radą pokrzepia — a przedewszystkiem ciągle podsyca miłość ku Ojczyźnie, mowie własnej, ziemi serdecznej — rodzinie; obowiązki, jakie macie względem Boga i ludzi, jasno Wam wykazując.

Przez trzy lata naszej wytrwałej i ciężkiej redakcyjnej pracy zjednałyśmy *Przodownicy* wiele i coraz więcej poczciwie myślących czytelniczek, które z całem zaufaniem i wiarą zawsze zwracają się do nas, pytając, żądając wyjaśnień, wskazówek i dzieląc się z nami treścią swego moralnego życia. Dzięki Wam za to, kochane, zacne Siostry! Lecz pamiętajcie, że Wasze czucie i praca wspólna z nami nieskończona jeszcze, że wiele, bardzo wiele jeszcze czynić musicie, aby byt tej drogiej Wam gazetki i nadal zapewnić.

Prenumerata tak nizka (1 Kor. rocznie) nie pokryje kosztów wydawnictwa, jeżeli nie będziemy mieli ogromnej liczby czytelniczek. Dlatego namawiajcie, nakłaniajcie krewne i znajome Wasze, aby *Przodownicę* zaprenumerowały i pilnie ją czytywały. Niech pismo to, tak bardzo Wam, kobietom polskim, użyteczne i tak miłe, rozszerza się po wszystkich zakątkach Polski, niech nie będzie domu, gdzie niewiasta rodaczka gospodarzy, do któregoby nie dosięgła *Przodownica*.

Zatem Waszej, Siostry miłe, trosce powierzamy los dalszy naszego wydawnictwa i „Do widzenia“ w styczniu!

Redakcya.

DO SIÓSTR NASZYCH
NA GÓRNYM ŚLĄZKU.

Wydajemy w bieżącym roku ostatni numer *Przodownicy*, która znalazła znaczniejszą liczbę czytelniczek w ziemiach zabranej Polski. Do pracy z nami stanęły w ostatnim czasie i kobiety z Górnego Ślązka. Najmłodsze to, a więc i najwięcej może ukochane córy nieszczęśliwej ziemi, do nich w chwili tej odzywamy się, aby czynem potwierdziły złożone w nich zaufanie. Liczba czytelniczek *Przodownicy* wzmaga się na Górnym Ślązku z dnia na dzień, chcielibyśmy jednakże, aby pismo nasze znalazło się w każdym domu, w którym na straży naszych ideałów stoi kobieta rozumna i uczciwa. Niesiemy Wam miłość, a i Wy oddajcie nam trochę Waszego serca. Da Bóg, że zapoznamy się ze sobą bliżej, że będziecie do nas przybywały częściej, a wówczas poznacie, że radebyśmy Wam otworzyć serca całe, byle Was utrzymać na zawsze. I my będziemy przybywały do Was, by popieścić Wasze dzieci, męczone w szkole, odczuwać wraz z Wami krzywdy mężów i braci przy pracy, popatrzeć z blizka w ciężki znój Waszego życia.

Dola Wasza nam dobrze znana, i niema u nas ani jednej istoty ludzkiej, któraby jej nie współczuła.

Ale właśnie dlatego potrzeba nam tem silniej związać łączące nas węzły, aby nie było wrogiej siły, któraby nas zdołała rozdzielić. Złączcie się z nami, skupiając się około *Przodownicy!* Pisujcie do niej o tem, co Was cieszy lub boli, trwoży albo budzi nadzieję... Pisujcie również o radę w potrzebie, o pociechę w trosce. Na listy lub zapytania Wasze odpowiemy zawsze. Przysełajcie nam również wiadomości o tem, co się u Was dzieje, opisujcie Wasze zwyczaje, ubiory, zdarzenia z lat ubiegłych i czasów ostatnich. Korespondencye Wasze pomieścimy chętnie i zawsze. Niech Was nie zraża nigdy to, że piszecie po polsku słabo albo błędnie, bo my wiemy, żeście się w szkole nie uczyły ani jednego słowa po polsku, że karmiono Was niemczyzną, aby zniemczone tem łatwiej dla luteranizmu pozyskać. My wiemy, że te, które piszą, uczyły się pisać same w ciężkim trudzie życia i z licznemi przeszkodami.

Wiemy również, że mowa Wasza jest bardzo piękna, i że tak mówiono niegdyś w Polsce całej. Odrzucić z niej tylko wyrazy niemieckie, a odzyskamy ją w całem jej pięknie.

Pisujcie więc do *Przodownicy* otwarcie i śmiało. To, czego nie dopiszecie, to my odczujemy sercem i zrozumiemy.

Przodownica była założoną dla światłych i dobrych kobiet z ludu, niechajże więc będzie i Waszą, kobiety Górnego Ślązka!

Rozszerzajcie *Przodownicę* wszędzie, przeczytaną podawajcie dalej siostrze, przyjaciółce, sąsiadce. Niech każda z Was zyskuje nam czytelniczki; nie macie dotychczas pisma kobiecego na Górnym Ślązku, niechaj więc nasze pokryje tę potrzebę. Starajcie się, aby *Przodownicę* rozszerzyć w okolicy Katowic, Bytomia, Żabna, Królewskiej Huty, Gliwic i Rybnika, dotrzeć z nią do każdej naszej wioski. Kto pragnie numer na okaz, temu go chętnie prześlemy, byle nam podał swój dokładny adres.

Przodownicę nazywajcie zawsze „Pismem naszem“, a ona w zamian za zaufanie, da Wam ziarno i zdrowe i czyste, z którego bujny wyrośnie plon.

A wówczas do żniwa staniemy wszystkie razem i pracy naszej pobłogosławi Bóg.

Krakowiak „Płynie Wisła“.

Płynie Wisła, płynie
Po polskiej krainie;
Zobaczyła Kraków,
Pewno go nie minie;

Zobaczyła Kraków,
Wnet go pokochała,
A w dowód miłości
Wstęgą opasała.

Nad moją kolebką
Matka się schylała
I po polsku pacierz
Mówić nauczała:

»Ojcze nasz« i »Zdrowaś«
I Skład Apostolski,
Przytem, bym miłował
Biedny naród polski.

Bo ten naród polski
Ma ten urok w sobie,
Kto go raz pokochał,
Nie zapomni w grobie.

Płynie Wisła, płynie
Po polskiej krainie,
A dopóki płynie,
Polska nie zaginie.

Krakowiak z r. 1794.

Ja krakowiak, ty krakowiak
I cóż z tego będzie,
Jeśli oba będziem siedzieć,
Jak kury na grzędzie?

Żem krakowiak i krakowskiej
Darmo nie jem kase
Chodźwa ino, spytajwa się,
Kajta ziemie nase.

Kej Mazowsze, kej Kujawy,
Kej ziemia Prososka,
Kej ta Litwa, Ukraina
I ta cała Polska!

Bywa za to dobre lato,
Kiedy kiepska zima,
Chodźwa ino, spytajwa się
Albo nas to nie ma?

Jedzie ślachcic na ogieze,
A chłop na kobyle,
Nie zechciałeś jechać napsód,
Jedźże tera w tyle!

I ty Maciek zleź z za pieca,
Zdejm kosę z opałką,
Na storc nastaw na moskala,
Pociągnij osełką!

„Na krakowskim brzegu“.

Na krakowskim brzegu
Stoją dwie mogiły,
Idź do boju śmiało,
Krakowiaczku miły!

Śmiało idź do boju
I pamiętaj bracie,
Że pradziady twoje
Z grobu patrzą na cię.

Pod krakowskim Zamkiem
Wisła toczy wody,
Miej w Bogu nadzieję,
Krakowiaczku młody.

W Bogu miej nadzieję:
Póki Wisła płynie,
Dopóty też nasza
Polska nie zaginie!

NASZ PRZEMYSŁ.

Cofnijmy się pamięcią o setkę lat wstecz, wówczas, kiedy to jeszcze dziadowie i pradziadowie nasi żyli, a którzy pomimo swej zamożności ubierali się zwykle, to jest w dnie powszednie w materye wyrobu krajowego, czyli swojskiego, bo przeważnie sami go w swych dworkach wyrabiali lub do sąsiadów tkać je posyłali, dając na to swój własny surowy materyał. Mężczyźni ubierali się w czamary z szarego sukna, i z tej przyczyny nazwano ich szlachtą szaraczkową, kobiety szyły suknie z samodziałów, a tylko na jakąś większą uroczystość ubierano się w tybety, kaszmiry, ciężkie jedwabne materye i cienkie sukna, które wtenczas, dla trudnego dowozu z zagranicy, były bajecznie drogie.

Uprawiano wiele lnu i konopi, które potem prababki nasze wraz ze swą czeladką, w zimowych wieczorach i doświtkach, przędły na kołowrotkach, śpiewając przytem rano godzinki, wieczorem kolendy, lub inne pieśni nabożne. Z przędzy lnianej wyrabiano płótna na koszule, spódnice, bieliznę na pościel i t. d. z konopnej bieliznę stołową i ręczniki, a z grubszej przędzy tkano dreliszki czyli samodziały, które poprzednio sami w domach farbowali.

Do farby używali bryzelii i krokosu z domieszką ałunu, koperwasu, farbki niebieskiej od bielizny i serwatki, otrzymywali kolory czarny, wiśniowy, granatowy, niebieski, różowy, żółty i zielony. Farbowaną przędzę układając w wzorzyste paski, otrzymywali z cienkiego samodziału gustowne materye na suknie, z grubszego i w szersze pasy na obicie kanap, foteli, materace i t. d.

Lud wiejski ubierał się prawie całkiem biało, w płótna własnego wyrobu, na święta cienkie lniane, w dnie robocze w grube, szare konopne; zamożniejsze tylko i bliżej miast mieszkające kobiety nosiły spódnice od święta z tak zwanego cycu; był to dobry gatunek białego perkalu we wzorzyste bukiety większe lub mniejsze rzucane.

Mężczyźni w lecie nosili płótnianki z białego domowego płótna, w zimie korzuchy lub sukmany z tabaczkowego albo siwego sukna. W okolicach nad rzeką Sanem położonych, kobiety nosiły tak zwane żupany z granatowego sukna, które im mężowie, idąc na flis, z Gdańska przywozili, wraz z bursztynami, którymi swe szyje ozdabiały.

Lud wiejski nie miał żadnych potrzeb, żywił się i ubierał w to, co mu rola wydała, a własnemi rękoma lub z pomocą sąsiada zrobił, a nawet i z dworków szlacheckich ledwo raz na rok jechano do miasta po zakupno niezbędnych potrzeb, jako to: kapelusze, parasolki, wstążki, pióra i koronki, któremi babunie nasze lubiły się przystrajać, towary kolonialne i t. d. Nawet obuwia w miastach nie kupowano, bo szewc przyszedł do domu, siedział parę tygodni, narobił kilkanaście par obuwia i szedł dalej do następnego dworu.

Wynalazki XIX-go wieku „postęp", a z nim łatwość komunikacyi zalały kramy żydowskie towarami zagranicznymi, które chociaż jakością nie dorównały naszym samodziałom i płócienkom, ale że są barwne a tanie, więc chętnie znalazły nabywców. Zaprzestano uprawiać len i konopie w większych rozmiarach, i tam, gdzie dawniej całe łany błękitno kwitnącego lnu zachwycały oko przechodnia, dziś zaledwo parę zagonów zasiewają na niezbędne domowe potrzeby, jako to płachty, ścierki, woreczki, ubrania dla mężczyzn do roboty i t. d., ale za to każdy gospodarz musi mieć choć 2 zagony pszenicy, 4 zagony żyta, bo w tem leży jego duma, żeby mógł się pochwalić przed sąsiadem, że i on ma pszenicę i żyto, choćby z najgorszej gleby wycisnąć je miał, ażeby potem wynieść po garści w kieszeni do propinacyi, i tam zamienić na alkohol. Lnu lub konopi żyd w karczmie nie weźmie, bo co mu po tem, córy izraela prząść nie umieją, ale zboże, ziarnko do ziarnka zsypując, stworzy mu towar, którym może handlować. Dziś Galicya nasza budzi się z letargu, zaczyna myśleć o własnym przemyśle; bo nietylko ciężko zdobyty grosz nasz zamieniony na towar wywożony jest za granicę, ale i żywy spożywczy materyał jako to bydło rogate i nierogate, drób, nabiał, zboże, wełna, wszystko, co jest lepszego w kraju idzie za granicę; wykarmiamy trzody i drób i tuczymy nimi wrogów naszych, a oni w zamian szydzą z nas, nazywają narodem półdzikim i katują dzieci nasze. Tylko trochę dobrych chęci, a wszystko własne mieć możemy i dziś mamy dosyć naszych wyrobów, które niczem nie ustępują towarom zagranicznym, a mianowicie:

Andrychów daje nam bardzo gustowne płócienka i zefiry, które wybornie mogą zastąpić kretony, perkale i batysty zagraniczne, a są o wiele trwalsze, bo z lnianej przędzy nie bawełny wyrabiane, Sławuta i Kęty wyrabiają doskonałej jakości sukna, Błażowa ładne i trwałe chustki, które nie spełzną od wody i słońca, jak te szmaty

jarmarczne. Korczyna, Dębowiec i Rakszowa wyrabiają weby, chustki do nosa, dymki niciane, bieliznę stołową i ręczniki. Rabka ma farbiarnię, w której różnej grubości płótna farbują na kolor granatowy, na którym drukują biały lub żółty deseń, czasem bardzo gustowny. Płótna te nazywają malowankami, i każda góralka nosi z niego spódnicę w dnie powszednie, gdyż są bardzo mocne. Mamy więc wszystko, czego większa część naszej ludności do ubrania potrzebuje, a nawet w andrychowskie i sławuckie wyroby, najwyższa inteligencya się ubiera, i gdyby tylko ceny były przystępniejsze, towary te po całym kraju rozpowszechnićby się mogły; ale niestety, nasze wyroby nie mogą wytrzymać konkurencyi zagranicznej, dla braku materyału surowego, dla braku przędzy. Otóż, zdaniem naszem jest, ażeby wszelkimi możliwymi sposobami wpływać na lud wiejski, ażeby więcej uprawiał lnu i konopi, bo gdy fabryki nasze będą miały więcej materyału surowego, swojskiego, będą mogły tanio oddawać swoje towary kupcom, a publiczność przekonawszy się o ich trwałości, nie zechce kupować zagranicznych szmat, które w końcu przestaną do nas sprowadzać. W Kołomyi jest fabryka „tałesów"; są to płachty białe w czarne paski, któremi żydzi okrywają się w czasie modlitwy; płachty te tkane są z cienkiej wełny, którą zapewne przędą hucułki. Nasze wiejskie dziewuszki, które umieją wyrabiać piękne hafty i misterne koronki, tem łatwiej nauczyłyby się prząść cienkie nitki wełny, z których tkaniny służyćby mogły na suknie damskie.

Wpłynąć na lud, jest zadaniem najtrudniejszem, i tylko za pośrednictwem nauczycieli i księży dałoby się to uskutecznić. Nauczycielstwo mogłoby już na dziatwę wpływać dodatnio, a czasem jakiś odczyt w tym kierunku wygłosić; ale najwięcej mogą tu zrobić księża, bo oni tylko jedni mają tę moc w swem ręku.

Przytoczę tu jeden fakt, jaki księża mają wpływ na swych parafian.

Miasteczko Tyczyn, w okręgu rzeszowskim, już prawie u podnóża Karpat położone, zbudowane było na pochyłości wzgórza; z daleka robi ono wrażenie lasu, z pomiędzy którego sterczą wieże kościelne i kilka dachów na wyższych budynkach. Za zbliżeniem się poznajemy, że las ten składa się z samych drzew owocowych, czyli ogromnych sadów, okalających każdy dom mieszczański. Rozmawiając z jednym mieszczaninem tamtejszym dowiedzieliśmy się, iż dawniej nie było tam ani jednego drzewa owocowego, aż oto dostali takiego proboszcza, który nie chrzcił dziecka, nie dał ślubu, nie pogrzebał umarłego, dokąd parafianin nie zobowiązał się zasadzić pewną ilość drzewek.

Dziś błogosławią pamięć tego proboszcza, bo cała parafia ma ogromne sady, co główny przemysł i dobrobyt mieszczan tyczyńskich stanowi. A więc udajmy się i my z prośbą do tych duszpasterzy, ażeby wpływem swym przyczynili się do rozwoju przemysłu w naszym kraju. Niech z ambon rzucają te zdrowe ziarna, a pewno wkrótce doczekają się obfitego plonu swej pracy. Lud nasz jest to siła, z którą idąc ręka w rękę, możemy dojść do upragnionego celu.

Opis obrazów Artura Grottgera

p. t. „Wojna"

które obecnie dodajemy do *Przodownicy*.
Obrazów tych jest 11.

(Dokończenie).

10. Świętokradztwo.

(„Rabunek przed *Te Deum*").

Zwycięstwem upojona tłuszcza, rozgościła się w świątyni, w domu Twoim Boże, u stóp Zbawiciela. Dzikie żołdactwo, co ludzi zabija, nie zdoła uszanować przybytku Bożego. Na krzyżu rozpięty Chrystus, spogląda na nich z tą twarzą promieniejącą, pełną miłości, co zdaje się modlić do Boga: „Przebacz im, Panie bo nie wiedzą, co czynią".

Narzędziami mordu i pożogi bezczeszczą postać Jego, ostre bagnety oparli o pierś Jego, jak gdyby miała raz jeszcze się powtórzyć Męka Pańska, co na Golgocie świat zbawiła.

Na bębnie leżą karty i kostki, zapewne dzikie żołdactwo o szatę Chrystusową grało, obok flaszka i niecne kielichy świadczą, jakim tu hołdowano bóstwom.

„I zmartwiał prorok i dalej narzekał:
O! Panie, w czynach swych bądź pochwalonym!
Lecz gdzież twój kościół, gdzie kapłanów hymny?"
A szakal w gruzach świątyni zaszczekał,
I na ołtarzu usiadłszy spalonym
Zawył. Z ołtarza jeszcze szedł słup dymny.

11. W pracowni artysty.

(„Ludzkości, rodzie Kaina!")

Pracownia mistrza. W samotnej jego celi rozlana jakaś światłość niebiańska, co bije od aureoli otaczającej jego oblicze. Za przewodnictwem geniusza, przeszedł ziemię, ten padół płaczu, tę dolinę pełną krwi

i łez, kędy ludzkość w bratobójczej żyje walce, kędy pali kadzidła na ołtarzach Kainowych.

Odwraca się więc od tego ohydnego obrazu, opuszcza tę ziemię, którą przeszedł, jak Dante *) piekło pełen bólu i żalu, aż

„. . . . . choć zemdlony,
Wzrok utopion trzyma w niebie!
A kto patrzy w ducha strony,
Ten, o Duchu, ujrzy ciebie!“
. . . .

Teraz dopiero pojął mistrz wielkość Boga. Śmiałą ręką kreśli nadludzkie kontury, u stóp Jego ołtarza wznoszą dymy dziękczynne, bo przejrzał, bo doszedł do prawdy.

. . . .
„I ujrzałem wszechświat cały
Jak myśl jednę, która płonie
Skier milionem w jednem łonie!
Ach widziałem — Bożej chwały
Wszechprzytomny kształ bez końca!“

Prenumerujcie, Drogie Czytelniczki, »Przodownicę« i rozpowszechniajcie to pisemko! Roczna prenumerata wynosi tylko 1 Koronę, którą można przesyłać znaczkami pocztowymi. — Reklamacyi nie opłaca się — szkoda wydawać pieniądze na marki. — Listów zaś nieopłaconych Redakcya ani Administracya »Przodownicy« nie przyjmuje! — »Wojnę« Grottgera tym, którzy ją zamówili, przeszle Administracya w styczniu 1903 roku, wcześniej nie może.

ROZMAITOŚCI.

Dnia 30 listopada b. r. we wsi Kończyska z niezwykłą uroczystością nastąpiło otwarcie czytelni ludowej imienia Maryi Konopnickiej.

Za poradą Malwiny Janowskiej Wawrzyniec Michalik postawił wniosek na posiedzeniu rady gminnej, by dla uczczenia Maryi Konopnickiej założyć jej imienia czytelnię w Kończyskach.

Ponieważ gmina ta jest ubogą i o własnych siłach nie mogła życzeń swoich w czyn wprowadzić, przeto pani Malwina Janowska udała się do Maryi Siedleckiej w Krakowie, aby tej gminie do urzeczywistnienia tego życzenia dopomogła. Ponieważ artyści wraz z dyrekcyą teatru krakowskiego zebraną kwotę mieli przeznaczyć na założenie szkoły imienia Jubilatki, Marya Siedlecka zaproponowała, by ją ofiarowali na czytelnię w Kończyskach, na co się zgodzono z największą ochotą. — I niedługo po jubileuszu Maryi Konopnickiej, który jak wiecie odbył się dnia 19 października b. r., nastąpiło otwarcie czytelni 30 listopada w rocznicę powstania narodu polskiego. Dzielni włościanie pod kierunkiem przezacnego księdza Kazimierza Zulińskiego i niestrudzonej pracowniczki na polu oświaty i nauki, p. Malwiny Janowskiej, pracowali nad urządzeniem i przyozdobieniem chaty na czytelnię. — Zaniechaną i zabrudzoną chatę przemieniono na czyściutkie i ozdobne pomieszczenie na czytelnię.

Po uroczystem nabożeństwie w kościele XX. Bernardynów, podczas którego śpiewano „Boże, coś Polskę“, po prześlicznem przemówieniu u wielkiego ołtarza ks. Kazimierza Zulińskiego, który błogosławił tym, co światło nauki niosą pod strzechę ludu naszego, i tym szczególniej, którzy się do niego garną i pragną go usilnie, z pieśnią „Kto się w opiekę“ podążyli wszyscy za zacnym kapłanem do nowego przybytku światła. A gromadka zebrała się duża, bo nietylko mieszkańcy Kończysk, ale ze sąsiednich wsi przybyli włościanie na tę uroczystość. Z daleka zieleniła się chata od wieńców ze świerków. Ganek przybrano wstęgami o barwach narodowych czerwono-białych, w izbie na świeżo obielonych ścianach pozawieszano obrazy Matki Boskiej Częstochowskiej, portrety królów polskich, Kościuszki, mapy Europy, Polski, Galicyi — a w oknach firanki białe przystrajały tę teraz śliczną izdebkę.

Bardzo licznie zebranych gości i włościan powitała pani Malwina Janowska. Zachęcała do czytania, dziękowała tym, co Jej dopomogli do założenia tej upragnionej czytelni dla ludu, który w tej wiosce odznacza się uczuciami patryotycznemi i trzeźwością. Od czterech miesięcy pani Janowska mieszka w Kończyskach i nie spotkała ani jednego pijanego człowieka, w końcu zwróciła się z pożegnaniem do obecnego księdza Kazimierza Zulińskiego, tego męczennika za sprawę narodową, tego prawdziwego brata ludu polskiego, gdyż ma w grudniu już opuścić swą ukochaną gromadkę, wszyscy na tę wiadomość załkali serdecznie, odczuwając stratę, jaką z powodu tego wyjazdu ponoszą.

Potem przemawiał ks. Zuliński, poseł Olszewski, odznaczający się piękną wymową i gorącym patryotyzmem, i miejscowy radny Wawrzyniec Michalik. Na zakończenie tej wzniosłej uroczystości dziewczynki, córki miejscowych włościan, deklamowały z pamięci piękne wiersze polskie. Dziewczątka te ubrane w krakowskie

*) Dante, sławny poeta, który napisał wiekopomne dzieło o piekle.

ubrania i w krakuskach na głowach rozweselały oko i serca zebranych.

Do założenia tej czytelni przyczynili się głównie ks. Kazimierz Zuliński i pani Malwina Janowska. Oni wynajęli dom w Kończyskach na czytelnię, w którym to będzie i ochronka dla małych dzieci — zaś bądź pracą, bądź jakimś darem przyczynili się p. Morawski, Barański, Dr Krzeczunowicz; gospodarze: Wawrzyniec Michalski, Antoni Jezierski, Józef Budzyn, Franciszek Łopatka, Antoni Ramian. Ofiary w pieniądzach na czytelnię złożyli: Dr Krzeczunowicz, Wawrzyniec Michalski, Józef Budzyn, poseł Olszewski, Olszewska, żona posła, Franciszek Łopatka, Serafin Michał. Po spisaniu aktu otwarcia czytelni, którą najpierw ks. Kazimierz Zuliński poświęcił, i odśpiewaniu pieśni narodowych, rozeszli się zebrani, zabrawszy książki do domu do czytania. Uroczystość ta długo, bardzo długo będzie tkwiła w pamięci obecnych, którzy pobłogosławieni przez czcigodnego kapłana, pokrzepieni i umocnieni na duchu, z wiarą w lepszą przyszłość, do której dążyć będą drogą nauki z dzielną pomocnicą i przyjaciółką swoją panią Malwiną Janowską, rozeszli się z postanowieniem pracowania nad szerzeniem podniesienia oświaty. Obyśmy więcej znaleźć mogli takich dzielnych Obywateli, — takie gminy pragnące oświaty, co daj Boże!

Akt dotyczący urządzeń zdrowotnych czyli hygienicznych w dawnej Polsce. Dokumenty historyczne wykazują, że w dawnej Polsce istniały urządzenia hygieny społecznej, jako to: b e z p ł a t n a p o m o c l e k a r s k a w roku 1503, r o z d a w a n i e b e z p ł a t n i e l e k a r s t w c h o r y m u b o g i m w roku 1579, k ą p i e l e ludowe w roku 1540, kasy pożyczkowe dla ubogich w roku 1584, przytułki dla żebraków, domy pracy i t. p. Pierwowzór urządzeń zdrowotnych w przemyśle znajdujemy w wydanym w r. 1644 przez Władysława IV. akcie, w którym rozkazuje przy kopalniach w Wieliczce założyć dla robotników łaźnię, utrzymywać przy niej chirurga i założyć Kuchnię publiczną. — Jakże wówczas wyglądało w Niemczech?

Opilstwo Niemców. Najnowsze badania naukowe wykazują, że Niemcy są krajem, w którym jest największy procent opilców. Jeszcze Bismark przestrzegał swój naród przed plagą alkoholizmu (opijanie się trunkami), który nazwał *diabolus germanicus*, po polsku „niemieckim dyabłem“. W 1882 r. było 299.242 osób pociąganych za opilstwo do odpowiedzialności sądowej, a w r. 1889 było już takich wypadków 488.139.

A więc w sidła „niemieckiego dyabła“, kuszącego swe ofiary pękatym kuflem złocistego płynu, wpada coraz więcej mieszkańców państwa „bojaźni Bożej“ i „dobrych obyczajów“ — jak się Niemcy nazywają. — My będziemy wstrzemięźliwszymi, a tem udowodnimy, że w y ż e j stoimy pod względem moralności.

Mroźny listopad. Starzy ludzie nie pamiętają listopada tak mroźnego, jak był tegoroczny. Mrozy rozpoczęły się w połowie miesiąca i z niewielką przerwą trwały do końca, dochodząc w niektórych okolicach kraju do kilkunastu stopni. Grudzień rozpoczął się również mroźny. W Warszawie w sobotę 29 listopada padał śnieg dość obfity i od wieczora tegoż dnia zaczęto jeździć po mieście sankami.

Z pod Dąbia w gubernii kaliskiej piszą do nas: Dnia 14-go listopada po łagodnej jesiennej pogodzie chwycił nagle ostry mróz i trwa dotychczas, dochodząc do 17 stopni. Wielu gospodarzom ziemniaki pomarzły, wszystkim zaś daje się uczuwać brak wody.

Uwięzieni w lodach. *Gazeta Polska* donosi, że wczesne mrozy zaskoczyły wiele berlinek, galarów, tratew, a nawet kilka statków parowych zatrzymało się na Wiśle, uwięzionych lodami. W najcięższem położeniu znaleźli się podróżni statku „Sokół“ Górnickiego, który wyszedł z przystani warszawskiej w zeszły wtorek o godz. 9 rano. Doszedł on tylko kilometrów kilka za Zakroczym i tu utknął. Liczni podróżni spędzili dzień cały i noc na statku o głodzie i chłodzie, dopiero nazajutrz o godz. 9 rano, przy pomocy łódek rybackich wylądowali na brzeg, kierując się między lodami. Statek stał na miejscu.

Zaspy śnieżne. W gubernii jekaterynosławskiej w Rosyi linia kolejowa do Petersburga pokryta śniegiem i lodem. Połączenie telegraficzne na przestrzeni kilku kilometrów poprzerywane ciężarem leżącego na drutach śniegu. Pociąg pospieszny do Petersburga musiał się wskutek zasp śnieżnych zatrzymać przez 12 godzin na stacyi Satizje.

W południowych krajach były wielkie burze, wichry i powodzie.

Burza we Fiume. W mieście tem nad morzem Adryatyckiem dnia 6 grudnia srożył się wielki huragan zwany „borra“. Wiatr ten pozdzierał bardzo wiele szyldów, postrącał kominy. Dach na teatrze i pewien skład drzewa zniszczone zupełnie. Pociągi przybyły z wielkiem spóźnieniem. Okręty nie mogły odpłynąć skutkiem burzy.

Nowy Jork, 6 grudnia. Na wybrzeżach Stanów zachodnich panowała silna burza. Jeden okręt się rozbił. Załogi, jak się zdaje, nie będzie można uratować.

Powodzie we Włoszech. M e s s i n a. Wskutek powodzi przerwany jest ruch na linii kolejowej do Syrakuz w Sycylii. Powódź wyrządziła w wielu miejscowościach znaczne szkody. Płynący z Malty żaglowiec rozbił się, przyczem dwóch ludzi z załogi zatonęło.

Zasnęli latem, zbudzili się zimą. We czwartek 2-go października była w okolicy Skarżysk w gubernii radomskiej przez cały dzień pogoda. Ludzie kopali i siali. A gdy strudzeni kładli się spać, był piękny, pogodny wieczór. Zrana budzą się, a tu śnieg całe pole przy-

odział miękką pierzyną. Poprzelękali się wszyscy, że tak wcześnie zima przyleciała. Jedni do drugich chodzili i narzekali na taką niespodziankę. Śnieg nałamał drzew owocowych i polnych na parę tysięcy rubli. Ale też więcej było ludzkiego gadania, niż śniegu na polu. Potem dał Pan Bóg znowu pogodę, ociepliło się, i wszyscy porobili, co kto miał robić. Widać, że Pan Bóg najlepszy gospodarz. *S. P.*

Długie życie Słowianina. We wsi Marewce (gubernia smoleńska) żyje 127-letni starzec, który się zwie Sinipa; urodził się w 1785 roku we wsi Wypolsowie. S. jest wysokiej i krępej budowy ciała. Wzrok i słuch starca wcale jeszcze nie ucierpiały; jest jeszcze zdrowy i silny, w lecie i w zimie chodzi do cerkwi w sąsiedniej wsi o dwie wiorsty oddalonej. Mimo swych 127 lat robi trzewiki i pończochy, i może jeszcze pełnić lżejsze prace w stajni i karmić drób. Pamięć posiada nadzwyczajną. Pamięta czasy rządów Katarzyny II., wojen napoleońskich i wojny krymskiej. Ojciec starca dożył 80 lat, matka jeszcze więcej, bo 120 lat; matka aż do śmierci pracowała na polu. Przez całe życie żadna ciężka choroba Sinipowi nie dała się we znaki, ale Sinipa ani wódki nie pije, ani mięsa nie jada!

Szkodliwy wpływ trunków czyli alkoholu na dzieci szkolne. Niemiecki związek nauczycieli zarządził badanie 7.338 uczniów szkolnych liczących 6 do 11 lat w kierunku używania alkoholu. Okazało się przytem, że z tej liczby zaledwie 2 do 3 prc. było dzieci, które trunków wcale nie piły. 13 prc. było takich, które się w życiu przynajmniej raz jeden lub nawet kilkakrotnie upiły, 11 prc. piło codziennie jakiś napój zawierający alkohol, 2 prc. dostawało ten napitek już rano jeszcze przed nauką szkolną. Dzieci te używające alkoholu były najgorszymi uczniami. Jeden z nauczycieli z reńskiej prowincyi donosi, że miał w swej szkole 11 dzieci, których ojcowie byli znanymi pijakami; wszystkie te dzieci musiano w szkole przydzielić do oddziału dla dzieci upośledzonych w rozwoju umysłowym czyli głupkowatych.

PYTANIA i ODPOWIEDZI.

Sz. **Jak prać i prasować ładnie**, napiszemy w przyszłym numerze, gdyż w tym się nie zmieści.

Sz. B. Doskonałe dziełko „O nawozach sztucznych“ napisał prof. Godlewski, kosztuje — Koron, nabywać go można w księgarni ludowej K. Wojnara, Kraków, ulica Szewska Nr. 13.

Ponieważ tak dużo zgłosiło się Czytelniczek z życzeniem, aby Im przesłać przepis na obiad wigilijny i ciasta, a ponieważ redakcya nie jest w stanie każdej z osobna przesyłać przepis, postanowiła więc zamieścić go w tym numerze, podając Wam, drogie i kochane Czytelniczki, przepisy taniego obiadu i droższego — taniego pieczywa i droższego.

Obiad wigilijny tradycyonalnie składa się z rybnych potraw i postnych — nie wszędzie i nie każdy może mieć rybę w tym dniu — zastępują go więc inne potrawy, i tak: Obiad bez ryb można zrobić i smaczny i tani w następujący sposób.

Na pierwsze danie dać zupę grzybową lub barszczyk grzybowy.

Zupa grzybowa w ten sposób się przyprawia. Bierze się dużych suszonych grzybów (dwa grzyby na osobę), płócze w kilku wodach, żeby nie były gorzkie i nastawia z rozmaitą jarzyną i korzeniami. Gdy grzybki są miękkie, sieka się drobno, a smak przecedza się, soli i zapala masłem z mąką. Raz jeszcze się wszystko zagotowywa i podaje z kaszką, którą poprzednio gotuje się na gęsto, wykłada na talerz lub miskę cieniutko rozkładając, a gdy przestygnie, kraje się w kostki i przed podaniem na stół wsypuje do garnka, ale się już nie gotuje.

Barszcz postny. Najlepszy barszcz robi się z burakowego kwasu, z owsa i t. d., który należy przyrządzić w następujący sposób. Buraki lub owies opłókać i włożyć w duży gliniany albo kamienny garnek (duże buraki pokrajać) i nalać letnią wodą. Gdy postoi w miejscu ciepłem, po kilku dniach jest dobry do użycia, można wrzucić skórkę chleba razowego, jeżeli kto chce mieć barszcz kwaśniejszy.

Jeżeli pragnie się mieć barszcz na dłuższy użytek, to trzeba go wynieść do piwnicy, a za każdym razem po odlaniu barszczu dodać taką ilość letniej wody, ile się barszczu odlało — tym sposobem barszcz się nie psuje, a może służyć na parę tygodni.

Gdy się ma barszczyk gotowy, to znaczy skwaszony, ugotować smak z włoszczyzny, grzybków, cebuli, przed podaniem na stół, wlać do tego smaku barszczyk i jeszcze raz zagotować, zasypać kaszką pszenną i gdy ponownie się zagotuje, podać na stół. Grzybki i włoszczyznę przed zasypaniem barszczyku kaszką powinno się wyjąć, drobno pokrajać i wrzucić do zagotowania razem z kaszką.

Barszczyk taki może być zaprawiony śmietanką kwaśną, daje się łyżkę śmietany na osobę, śmietanę trochę mąką zaprawiwszy, wlewa się pomału do barszczu gotującego się, by się nie zwarzyła. Taki zaś barszczyk je się albo z ziemniaczkami albo z kaszą gryczaną.

Kasza drobna na grzybowym smaku. Do wygotowanego z grzybków suszonych smaku wsypać pół kwarty drobnej kaszki, wlać trochę roztopionego masła, wsy-

pać usiekanych grzybków, posolić, przykryć i gotować na ogniu przez pół godziny, często potrząsając rądlem, aby się nie przypaliło. Na misce polać zrumienionem masłem.

Kapusta kwaszona z fasolką. Ugotować smak z grzybków, zalać nim kwaszoną oparzoną wpierw kapustę, dodać posiekane grzybki, ugotowaną poprzednio w osobnym garnuszku drobną fasolkę posolić i gotować — po dogotowaniu włożyć łyżkę kwaśnej śmietany, zapalić zrumienionem z mąką i cebulą masłem — kapusta doskonała. Jeżeli kogo stać na rybę, to niechaj do kapusty doda mleczko lub ikrę z ryby i wleje parę łyżek zupy, w której ryba się gotuje a będzie kapusta przewyborna.

Paluszki z makiem. Zagnieść ciasto z jajami i wodą, pokrajać na kawałki i robić tak zwane paluszki. Potem wrzucić je na wrzącą wodę, a gdy wypłyną, wybrać na durszlak, wymięszać z tartym makiem i podać na stół.

Suszone śliwki, jabłka, gruszki opłókać w letniej wodzie, wsypać do wody, gdy się zagotują, dodać skórki cytrynowej, pomarańczowej, cynamonu, cukru, zagotować wszystko razem, a gdy ochłódnie, podać na stół.

Obiad wilijny droższy. Zupa rybna. Smak wygotować z włoszczyzny, cebuli i korzeni i do niego wrzucić bardzo starannie oczyszczone drobne rybki, a kogo stać na większą kilową rybę, n. p. karpia, to do zupy wrzucić głowę, obcięte pletwy, ogonek i dobrze zagotować. Następnie przez sito przefasować (z jednej głowy zupa na osób 5), pół kwaterki kwaśnej śmietany rozbić z mąką, zaprawić zupę, włożyć trochę masła i jeszcze raz zagotować przed podaniem na stół. Do tej zupy można podać albo grzanki (bułkę w kostkę kraje się i suszy w garnku lub na blasze, dodając do niej troszkę masła) albo z kaszką w kostkę pokrajaną.

Ryba smażona lub gotowana. Najsmaczniejsze ryby smażone to są karpie, gotowane zaś szczupaki, linki, i t. d. Z kilowego karpia można mieć dla czterech osób, pokrajawszy go na cztery części, a można i na pięć dwa rodzaje ryb — te ćwiartki jeszcze na połówki, dwie z karpia potrawy z jednej połowy kawałków smażone, a z drugiej ze szarym sosem karpie.

Rybę do smażenia macza się w rozbitem dobrze jajku i obsypuje troszkę mąką z tartą bułką, potem wrzuca na wrzące masło. Skoro się z jednej strony zrumienia, przewrócić na drugą, po usmażeniu ostrożnie wyjmować na talerz i oblać, podając na stół, pozostałem masłem; do ryby smażonej podaje się k a p u s t ę k w a ś n ą p o s t n ą.

Karp na szaro. Karpia gotuje się bez łuski. Oczyściwszy i pokrajawszy go na dzwona nasolić prażoną solą i odstawić. Tymczasem ugotować włoszczyznę, to jest pietruszkę, seler, por, marchew, wrzucić w ten smak jeden grzyb, parę cebul, pieprzu, angielskiego ziela, bobkowego liścia, parę goździków; tym smakiem zalać rybę w rondelku, wrzucić cytrynowej skórki, kawałek skórki od chleba żytniego i ugotować na mocnym ogniu. Osobno zaś w tyglu zagotować do zrumienia łyżkę masła z łyżką mąki; gdy to przestygnie zaprawić, to jest włożyć parę kawałków cukru i łyżeczkę palonego karmelu; to wszystko rozprowadzić smakiem, w którym się ryba gotowała dodawszy do smaku, sok z pół cytryny; wsypać garść oparzonych rodzenków, wysadzić sos, żeby był gęstawy, ułożyć karpia na półmisku, ubrać plasterkami cytryny, rodzenkami i polać sosem, którego powinno być sporo, gdyż on stanowi podstawę karpia. Tak samo robi się leszcz i lin na szaro, nie chcąc jednak do tych ryb robić tyle zachodu daje się je z szarym sosem z rodzenkami.

Uwagi ogólne o rybach. Przy kupowaniu ryb trzeba zwracać uwagę, aby były świeże, najlepiej żywe zupełnie; gdyż nie świeże ryby są bardzo niezdrowym pokarmem. Jeżeli skrzele po otworzeniu szczęk jest czerwone, to ryby świeże, jeżeli zaś blade lub ciemne, to już nie dobre do użytku; w czasie wielkiego mrozu, gdy wszystkie ryby są zamrożone, poznaje się po wypukłości oka ich świeżość; im zaś więcej oko jest wpadłe, tem ryby są dawniejsze. Częstokroć ryby nie wydają złej woni a są stare, skórka w takim razie jest ciemna i miękka, ryb takich nie można używać. Najlepiej jest solić ryby solą prażoną, to jest wziąwszy na patelnię białej, śniegówką zwanej, soli trzymać ją na ogniu ciągle mięszając, póki troszeczkę nie zżółknie i nie przestanie trzeszczeć. Taką solą należy koniecznie solić ryby, gdy mają być przechowane jakiś czas; świeżo złowione wcale nie płókane, rozkrajać wzdłuż przez wierzch łba do ogona, wnętrzności wyrzucić, a samą rybę prażoną solą wewnątrz i zewnątrz obsypać i złożyć razem jakby była cała; układać jednę na drugiej w fasce lub misce i codzień własnym ich sosem po wierzchu polewać, a biorąc do użytku, kilkakrotnie z soli w wodzie wypłókać. Gdy się ryby dziś na jutro soli, nie należy je płókać tylko solić, a na drugi dzień wypłókać w wodzie z tej soli, aby nie były za słone. Wyjmując z ryb wnętrzności, trzeba uważać bardzo, aby nie rozgnieść ż ó ł c i. Dlatego nie trzeba rozpruwając rybę głęboko w nią nóż wkładać, a wyjmując wnętrzności nie gnieść w rękach, ale lekko palcami je od ciała odrywać.

Strucle postne. Garniec mąki rozczynić kwartą letniej wody lub makowego mleka i 4 łutami drożdży, wybić mocno, żeby od rąk odstawało, wsypać soli, anyżku albo czarnuszki, wymięszać i postawić w cieple żeby wyrosło. Potem brać po kawałku ciasta, rozwałkować lekko na stolnicy i robić długie strucle. Jak podrosną na blasze posmarować wodą, posypać czarnuszką i wstawić w piec na 3 kwadranse.

Strucle maślane. Garniec mąki rozczynić pół kwartą letniego mleka, wlać 8 łutów drożdży rozmoczonych w szklance mleka, wymięszać, posypać mąką i zostawić aby podrosło. Gdy ciasto ruszy, wlać w środek

pół kopy rozbitych żółtek, pół kwarty sklarowanego masła, wsypać funt cukru z wanilią, trochę soli, rodzenków, wybijać dobrze rękami, dobierając resztę mąki, potem przykryć i zostawić w ciepłem miejscu. Jak podrośnie porobić na stolnicy strucle, kłaść na blachy wysmarowane masłem, a jak trochę podejdą, smarować żółtkiem rozbitem z wodą, osypać krajanemi migdałami i wstawić do pieca na godzinę. Po wyjęciu osypać cukrem.

Strucle z makiem. Funt maku namoczyć na parę godzin, potem sparzyć, odlać i uwiercić w donicy z cukrem, dodając kilkanaście gorzkich migdałów utłuczonych na masę. Wziąść kawał ciasta przyrządzonego jak na poprzednie strucle, rozwałkować na stolnicy, podsypać trochę mąki, po rozwałkowaniu ciasta ułożyć grubą warstwę maku, biorąc funt na jedną struclę, można jeszcze posypać rodzenkami bez pestek, ciasto zawinąć jak strucle, położyć na blachę wysmarowaną masłem, a jak trochę podrośnie posmarować żółtkiem i wstawić do gorącego pieca, gdzie powinny stać dłużej jak poprzedzające strucle, przynajmniej trzy kwadranse.

Strucle z masą migdałową. Funt migdałów słodkich i kilkanaście gorzkich sparzyć, obrać i utłuc na masę skrapiając wodą. Gdy wszystko utłuczone, masę ułożyć na rozwałkowane ciasto jak na strucle maślane, ugładzić nożem, zawinąć, położyć na blachę, a skoro podrośnie posmarować żółtkiem i wstawić do pieca na 3 kwadranse. Po wyjęciu posmarować przeźroczystym lukrem, który na gorącej strucli zaraz ostygnie.

Dla dzieci obwarzanki z makiem. Wziąść półtorej kwarty mąki, półkwaterek drożdży, kwaterkę mleka, kwaterkę surowego masła, kwaterkę szarego maku, osolić i zagnieść, robić z ciasta nieduże obwarzanki, posmarować jajkiem, osypać makiem i wsadzić do pieca.

Szanowna Magdaleno Wojasowa. Owies da się rozmaicie używać — i nietylko on jest zdrowym i pożywnym dla koni — i wogóle dla inwentarza gospodarczego — ale jak twierdzą uczeni-lekarze, jest zdrowym i pożywnym pokarmem dla ludzi. Jak go używać można w danych warunkach — w *Przodownicy* były przepisy rozmaite pomieszczane. I tak z owsa da się robić doskonała kasza, zdrowa dla dzieci. Kaszę taką, jako też jaglaną, gotować można ze śliwkami, jabłkami i innemi owocami. Z owsa robi się mąkę na chleb, bułki, wypiekanki smaczne dla dzieci, kluski, zupy doskonałe, barszcze, piwo owsiane itd. itd. Równocześnie z *Przodownicą* przesyłam Wam listownie, droga Czytelniczko, szczegółowy przepis tych potraw i sposobów używania owsa, która zaś z nowych Prenumeratorek w tym dopiero roku zaprenumerowała *Przodownicę* i życzyła sobie tych przepisów, redakcya chętnie je każdej z osobna przeszle, bo ponownie drukować w *Przodownicy* nie można.

W dawnych rocznikach były również zamieszczane rady gospodarcze, nietylko z gospodarstwa rolnego, ale i domowego niejednego. A więc o rozmaitych pieczywach, o sadownictwie, warzywnictwie, hodowli kur, kaczek, krów, świń, o przerabianiu owoców na wina, o suszeniu grzybów, o warzeniu zup z jarzyn, owoców, ziół i rozmaitych roślin. Każda więc Czytelniczka nowa, jak już wspominałyśmy, może dostać przepis, jaki tylko pragnie.

Środek przeciw utrudnionemu odczyszczeniu się krów. Pewien praktyczny rolnik pisze: Przez dłuższy przeciąg lat wiele z mych krów nietylko się ciężko cieliło, lecz po ocieleniu nie odczyściły się jak należy, tak, że łożysko pozostawało przez kilka a nawet kilkanaście dni. Krowy nietylko skutkiem tego mniej mleka dawały, ale i chudły i chorowały. Dwie nawet zniszczały. Zalecane środki, jak zadawanie imbieru, torejaku i t. p. nic nie pomagały. Pewna doświadczona gospodyni radziła mi przeto, abym każdej krowie mniej więcej na dwa tygodnie przed ocieleniem dał kilka garści jęczmienia gotowanego. Środek ten znakomicie poskutkował. Od trzech lat dając krowom na trzy tygodnie przed ocieleniem gotowany jęczmień, ocielenie odbywa się lekko i łożysko krótko po ocieleniu z łatwością odpada.

Gospodarz, który w zimie używa koni do wyjazdu, lub zarobku, powinien też pamiętać, ażeby nigdy nie zostawiał wędzideł na dworze lub nawet w stodole, w sieniach domowych i t. d. Jest to na pozór drobnostka, ale sprowadza bardzo złe skutki dla koni i gospodarza. Wiadomo, że zmarznięte żelazo przylega z wielką siłą do wilgotnych rąk. Otóż to samo następuje i w pysku konia, tylko z tą różnicą, że tu odrywa żelazo całe kawałki delikatnych błon, skutkiem czego powstają rany, trudne do zagojenia, a które w wielkim stopniu utrudniają jedzenie. To też taki koń chudnie w krótkim czasie, a gospodarz nie domyśla się nawet przyczyny i nie może jej usunąć.

Wywożenie gnojówki zimą na pole nie można nazwać racyonalnem, ponieważ równe rozdzielenie gnojówki jest niemożliwem i miejsca, tak zwane jałowe, powstają, na których n. p. zboże się kładzie (ligi), nierówno dojrzewa i mniej ziarna daje. Najwłaściwsze użycie znajduje gnojówka w tem, że polewa się nią gnój na gnojowni, a lepiej jeszcze na kupy kompostowe, przez co równomierne rozdzielenie wszystkich substancyj pożywczych dla roślin na całej powierzchni staje się możliwem.

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka.
W Krakowie — czcionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Dodatek do Nru 12 „Przodownicy" z r. 1902.

O TADEUSZU KOŚCIUSZCE.

Przez M. T. P.

(Dokończenie).

Dnia 1 października 1817 r. Kościuszko zasłabł, a po znacznym ubytku sił miarkując, że to koniec pewnie się zbliża, ułożył testament. W nim zapisał jedną połowę majątku swej ukochannej chrzestnicy i wychowanicy Emilii, córce Zeltnera, a drugą ubogim.

Następnie podpisawszy tę swoją ostatnią wolę, złożył pióro i rzekł: „Teraz dobrze mi już". Potem kazał sobie podać pałasz, który nosił w obronie Polski i Ameryki, podniósł go drżącą ręką ku niebu i prosił obecnych, aby mu go po śmierci do trumny włożono.

Dnia 15 października (1817) zrana, obudziwszy się — czuł, że mu nieco lepiej — więc podał rękę Zeltnerowi u łóżka stojącemu — uścisnął go czule, chwilę rozmawiał z jego rodziną, pobłogosławił swoją wychowanicę — wreszcie westchnął i o godzinie 10-tej wieczór cicho, błogo, spokojnie, oddał duszę Bogu — mając za sobą lat 71 żywota, poświęconego Bogu, ludzkości i Ojczyźnie.

Ciało starannie zabalsamowane ułożono na katafalku i przez dwa dni na widok publiczny wystawiono. Mieszkańcy z całej okolicy odwiedzali je gromadnie, a zwłaszcza ubodzy płakali rzewnie, żałując swego dobroczyńcy.

Po trzech dniach t. j. 18 października, w samo południe odbył się uroczysty pogrzeb, staraniem gminy Solury. Na czele oszaku żałobnego dzieci z zakładu sierót, niosąc wieńce i bukiety — za nimi postępowała młodzież szkolna, pod dozorem swych nauczycieli — dalej szło bardzo liczne duchowieństwo ze światłem — a potem widniała na czarnych aksamitnych marach otwarta trumna ze zwłokami Kościuszki. Za ciałem niesiono na poduszkach aksamitnych godła dostojeństw nieboszczyka t. j. kapelusz generalski, pałasz, buławę naczelnikowską, order „Cyncynata" i dwa wieńce, z których jeden był laurowy a drugi dębowy. Zaraz za trumną szedł Zeltner, otoczony rodziną, przyjaciółmi i znajomymi — dalej najwyższa rada Rzeczypospolitej szwajcarskiej — urzędnicy, mieszczanie z chorągwiami cechowemi, a na końcu niezliczone tłumy ludu.

Orszak ten udał się do kościoła pojezuickiego, gdzie trumnę złożono na katafalku i rozpoczęto nabożeństwo. Po odprawieniu tegoż, ciało zmarłego przeniesiono do innej trumny ołowianej, a opieczętowawszy, włożono ją w drugą trumnę dębową i spuszczono do podziemia pod wielkim ołtarzem.

Zaledwie rozbiegła się wieść o zgonie Tadeusza Kościuszki, — cała Polska jękła żałośnie. Zaraz tedy we wszystkich zakątkach dawnych ziem Rzeczypospolitej odprawiać poczęto nabożeństwa żałobne i to nietylko po katolickich, ale i po luterskich kościołach, a nawet i po bóżnicach żydowskich i mahometańskich meczetach.

Sami nieprzyjaciele Polski prześcigali się w okazywaniu czci dla pamięci wielkiego naszego Naczelnika.

I tak: car Aleksander wysłał księcia Antoniego Jabłonowskiego do Solury, aby zrobił z władzami tamtejszemi układy co do sprowadzenia zwłok Kościuszki do kraju. Rząd Rzeczypospolitej szwajcarskiej żadnych temu nie stawiał przeszkód — więc już 11 kwietnia 1818 r. przybyło ciało bohatera do Krakowa. Złożono je najprzód w kościele św. Floryana, a dnia 3 lipca tegoż roku, przeniesiono z wielką uroczystością do katedry na Wawelu, i tam w królewskich grobach schowano. Łzy i westchnienia nieprzebranych fal ludu towarzyszyły temu pogrzebowi.

Ale nie dosyć na tem. Naród postanowił bardziej jeszcze uczcić nieśmiertelnej chwały pamięć swego ukochanego wodza. Więc na wzgórzu Bronisławy, pod Krakowem usypano mu mogiłę czyli kopiec. Do pracy około sypania tej mogiły zabrali się wszyscy bez różnicy stanu i wieku. Pod spód włożono skrzynię ze szczątkami poległych pod Maciejowicami i drugą z racławicką ziemią. Gdy przyszli brać ziemię z miejsca, gdzie się bitwa odbywała — stał tam właśnie piec garncarski, ale właściciel piec zburzyć rozkazał i sam pierwszą łopatę w to miejsce zapuścił. Przez trzy lata, t. j. od 16 października 1820 r. do 16 października 1823 r. sypano tę mogiłę. Dzisiaj podnosi ona dumne czoło wysoko, ponad okolicę daleką i światu głosi sławę wodza, któremu naród cały wzniósł z wdzięczności i czci najpiękniejszy, bo żywy pomnik własnemi rękami.

Jeden z naszych natchnionych poetów, Kornel Ujejski, tak opisuje pogrzeb i sypanie kopca Tadeusza Kościuszki:

„Biją razem wszystkie dzwony, jak ludowe głosy,
Jęczą, kwilą modlitwami — rwą się przez niebiosy,
A nad nimi dzwon Zygmunta, żałość gorejąca
Wszystko chłonie, bo to niby Ojczyzna płacząca.

W cudzych stronach, na tułactwie wiódł życie [boleści,
Jasnowidza nie skusiły wabiące go wieści,
Aż dopiero teraz wraca na ojczyste łany,
Ale w trumnie, wraca w trumnie hetman ukochany.

Towarzysze już hetmana na ramionach niosą,
Chylą oczy, co żałosną zwilżyły się rosą,
Dalej pany i kapłany, wojska jeno trocha,
A hen, z tyłu chmura chłopstwa, to najgłośniej [szlocha.

Toż to dzieci są hetmańskie, szlochając jak dzieci,
W tłumie kosa racławicka podniesiona świeci,
To ich sztandar. W koło niego tłum jęcząc [wykrzyka:
„Koso nasza, choć zdaleka patrz na Naczelnika".

O! panowie, zróbcie miejsce, niech się zbliżą chłopi,
Niech tę trumnę miłowaną ich łza szczera skropi,
Bo ten hetman nie hołdował, pysze i potędze,
Bo on stawał w ich szeregu, chodził w ich [siermiędze.

I na Wawel, między królów ponieśli hetmana,
I rozwarła się świątynia złotem nabijana,
U jej progu stanął Kmita „A co zacz on?" pyta;
„Swój! swój! świętszy od waszeci! puszczaj mości [Kmita".

Zaruszały się posągi — królowie umarli
Na kamiennych sarkofagach, na dłoniach się [wsparli,
I ciekawie każdy pyta, stare sny ucisza,
I spojrzeniem wniebowziętem wita towarzysza.

Długobrody król nad innych wyżej z łoża wstaje,
I przemawia: Ja, król chłopków — rękę ci podaję,
Wzdy obydwaj my uczcili zapomniane pługi,
I kochali lud gołębi, ja jeden, ty drugi".

U ołtarza arcypasterz gorąco się modli.
Wznosi ręce — każda głowa na piersi się chyli,
A w dziedzińcu korni chłopi o głaz biją czołem,
Oni, kiedy kościół pełny — stoją przed kościołem.

Ten, co z pługiem może chodził w ubóstwie za [młodu,
Spoczął w królów katakombie, hetman, król narodu,
A gdy za nim drzwi zaparli, rygle zasunęli,
Chłopstwo wzniosło krzyk boleści: „Ach, już go [zamknęli"!

„Ach. już wzięli Naczelnika! ach, on już nie naszy,
„Ciemność sklepień, blask pozłoty, serca nasze [straszy,
„Tobie króle towarzystwem i pany w sobolach,
„Lepiejby ci z nami było na zielonych polach,

„Na zielonem czystem polu, na zielonej łące,
„Co dnia ptak by ciebie witał i słońce wschodzące,
„Przed upałem twej mogile cień dałyby Tatry,
„Z dobrą wieścią od Ojczyzny latałyby wiatry.

„Z białej Wisły mgła powstaje, w górze świeci słonko,
„My czapkami tobie kłaniam, z kosą idziem łąką,
„Ty byś cieszył się z jej blasku, choć śpiący i niemy,
„Cóż dopiero kiedy kosy na sztorc nabijemy.

„Jeśli Pan Bóg zagniewany skryje się na niebie,
„Łatwiej znaleść twą mogiłę, w pomoc wezwać [ciebie,
„Trudne pisma na nagrobkach, mało kto je czyta,
„Dziecko wskaże na mogiłę — „a czyja to spyta".

Tak lud żali się i marzy, urywane słowa,
Zwolna cichną, lud w cichości, jakiś zamiar chowa,
Zamknął uszy na głos świata, własnej głębi słucha,
Nagle spłonął, krzyczy, biegnie, dobył iskrę z ducha.

I mogiłę w nieborosłą sypie lud serdeczny.
„Próżnaż ona? cóż w nią schować na spoczynek [wieczny?"
Kości w polskim relikwiarzu złożył wódz jasnowidz,
Lud zatroskał się i myśli: „Hej, do Maciejowic!"

Starzy ludzie pamiętają to miejsce wśród błonia,
Kędy ranny i omdlały hetman upadł z konia,
Więc tę ziemię, krwią przesiąkłą, bierzcie jak [sakrament,
Złóżcie w urnę i mogile dajcie za fundament.

Tak zrobili. Zblaskiem zorzy do ofiarnej pracy,
Biegną pany i kapłany, chłopi i wojacy,
Wszyscy razem, wszyscy równi, pomięszani tłumnie,
Jak przykazał duch miłości, pracują rozumnie.

Miłość wiąże i umacnia — praca idzie chyżej'
A krakowska cała ziemia woła: „wyżej! wyżej!"
„Niech mogiła sławą wodza rozbrzmiewa roz- [głośnie",
I mogiła Bogu miła, rośnie, rośnie, rośnie...

I urosła. Już ją widzi przechodzeń daleki,
Każda chata na nią patrzy od wieku po wieki,
Na jej straży będą: wiara i miłość, dwie stróżki,
Wawel runie — a zostanie mogiła Kościuszki.

* * *

Tak jest, bo Tadeusz Kościuszko był, jak ta mogiła niezachwiany w postanowieniach, wytrwały w czynieniu ludziom dobrodziejstw, czysty i podniosły w uczuciach, z których najpierwszem u niego była miłość dla Ojczyzny.

Na zakończenie przeczytajcie jeszcze jeden wierszyk o Kościuszkowskim Kopcu.

„Oto macie Kopiec łzawy,
Co to broni polskiej sławy
Hen, na górze Bronisławy!
Pod nim leży człowiek prawy,
Naczelnikiem niegdyś zwany,
A od ludzi ukochany,
Bo go wiódł do boju boso,
I ciąć kazał wrogów kosą,
I podźwignął silną dłonią
Tych, co żywią i co bronią.

Prosi, jeśli łaska czyja,
Prosi o „Zdrowaś Marya".
A komu wiara nie drwinki
Prosi o dobre uczynki".

KONIEC.

Dańko z Jawuru.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Halina puściła rękę swej matki, czy chciała iść z podzięką do Sępa, czy ku rannemu Dańkowi, to jednak pewna, że przez chwilę sama jakoś została. Nagle z za drzewa pochwyciły ją dwie silne dłonie, nim krzyknąć mogła, zarzucono jej burkę na głowę i uczuła, że ziemi pod stopami jej brakło, że szybkim pędem koń ją daleko unosił.

— Zdrada! — krzyknął na drzewie siedzący Bartus, który właśnie dlatego mógł wszystko lepiej uważać — zdrada, Litwin brankę uwozi!

— Moją Halinę! — jęknęła Kaszubska, macierzyńskiem oświecona przeczuciem, dopiero później spojrzawszy wokoło, widząc kogo braknie, mogła okropnej nabyć pewności.

Kilku wieśniaków rzuciło się w pogoń; Salomea próżno chciała Dańka zatrzymać: choć ranny i zmęczony, najpierwszych wkrótce prześcignął. Tentent kopyt końskich wiódł ich wśród ciemności niemylną wskazówką, lecz nagle ustał, a gdy znowu dosłyszeli, wyraźnie ku nim się zbliżał i zbliżał coraz bardziej, aż wreszcie między goniących wpadł dzielny rumak z rozwianą grzywą, cały zapieniony, tylko już na nim Litwina ani branki nie było. Smutnie wszyscy spojrzeli po sobie — nocą gonić zbiegłego niepodobna, można wpaść w jaką zasadzkę, można trafić na litewskie czaty — cóż było robić, powrót uradzili. Lecz Dańko smutnie wstrząsnął głową — nie, on bez Haliny przed panią Kaszubską nie stanie. Umówił się tylko ze swoimi o hasło, jakie im da, gdy będzie możność i potrzeba ratunku, potem śmiało naprzód ruszył.

Biedny Sęp, biedna Salomea! czy go zobaczą kiedy? — Dańka w plon wzięli poganie.

VI.

Niewola.

Właśnie też Litwini dosyć już prawie mieli zdobyczy, a ponieważ na zwiady wysłani donieśli im, że Polacy ciągną ze zbrojną odsieczą, jak nagle wpadli, tak i uciekli prędko, pędząc przed sobą kupy wziętych jeńców i branek, po różnych szlakach, różnemi oddziałami, niby rozpierzchłe a w ładzie, istnie jak mrówki, co wszystkie i zewsząd u jednego nakoniec zejdą się mrowiska. Mrowiskiem Litwinów było wznoszące się naówczas Wilno. Zaśniło się ono Gedyminowi, najpierwszemu z książąt, żelaznym wilkiem na lesistem wzgórzu, powstało zaś kamieniem i cegłą czerwoną, z porady najpierwszego kapłana Krewe-Krewejty. Tam pod świątynią Peruna złożono łupy i spędzono niewolników. Książęta i kapłani, wajdelotami zowiący się, przewodniczyli rozdzielaniu grabieży. Co kosztowniejsze sprzęty poszły na ozdobę świątyń, co silniejsi jeńcy na daninę księciu, a co piękniejsze Laszki na służebność dzikim swoim porywcom.

Dańko dostał się między tych, którzy z Prus i Polski napędzeni, w pocie czoła musieli codzień nowe wznosić mury i gmachy. Próżno i w czasie pochodu, i w miejscu stanąwszy, o Halinie Kaszubczance lub jej bracie przynajmniej od współ-jeńców dowiedzieć się starał szlachetny syn Sępa; jak z początku samego rozdzieliły się ich drogi, tak nadziei nawet niema, by się zbiegły kiedy, bo Litwa dusza, nieprzebyta, nieprzejrzana — bo w niej puszcze takie ogromne, że sokół jednej w dwa dni nie przeleci.... Wśród towarzyszów Dańka, niejeden jak on młodzieńcem z kraju rodzinnego wzięty, dziś osiwiałą potrząsał głową i nie zapłakał nawet, gdy mu nowo-przybyły o lepszym na kiedyś wspomniał losie. Dańkowi serce w piersiach wysychało tęsknotą; jemu nie widzieć ojca, matki, siostry, brata i słomą pokrytej lepianki, i złotą pszenicą pokrytych zagonów swoich — to już lepiej oczu nie mieć. Gdyby chociaż stać się pociechą nieszczęśliwego paniątka, które z nim razem w ciężką poszło niewolę; gdyby wiedzieć, że się ją czasem

słowem uspokoi, dłonią wyręczy, własną piersią w przygodzie osłoni -- to by więcej odwagi do duszy wstąpiło — lecz tak samemu wśród obcych, biedny Dańko!.... A przecież jest dla niego wielka tych wszystkich smutków osłoda. W składach sukmany uniósł on ogniwo z Kazimierzowego łańcucha, bo przy ubogim kmiotku nie szukali złota poganie. Kiedy przyszła chwila, czuł jak gdyby mu krwi w sercu, a łez w oczu zabraknąć już miało, to się krył pilnie, dobywał zzanadrza tego kawałka kruszcu i gdy mu jasną zaświeciło obrączką, on sobie wszystko przypominał, od ukąszenia Tatara, aż po błogosławieństwo pani Kaszubinej — od anioła co na błoniu ulitował się kmiotkowi, aż po anioła, co w obrazie otwierał drzwi świętemu — i.... i niewolnik znowu na anioła czekał. Dni po dniach przeminęły, zima do końca się zsunęła, Dańkowi przypadła raz jakaś pośpieszna praca koło książącego zamku — właśnie z roztopem śniegów zepsuła się ogromna psiarnia, szło więc o to, żeby wznieść nową z kamienia i cegły, przeciw słocie wytrwałą, bo tam przecież nie ludzie, tylko co najpiękniejsze książęce psy mieszkać miały. Między dozorcami rozeszła się wieść o przybyć mającem poselstwie, o pysznych łowach, do których wszystko sposobią, dlatego też zapewne w dwójnasób pilnują robotę, a robotnikom, choć wiatr mroźny, choć ziemia pstra jeszcze śniegu kawałkami, nie kostnieją ręce, tylko aż krople potu występują na czoło.

Psiarnia nakoniec stanęła. Przyszedł łowczy i kazał w obecności swojej całą psiarnię umieścić. Dańko został, żeby się przypatrzeć pięknym chartom, ogarom, wyżłom, jamnikom, brytanom. Uwijały się między psami małe pacholęta do posługi i żywienia, wielkie draby do zaprawienia i dozoru. Wkońcu wyszło, jakieś małe, chude, i wynędznione chłopię, z trudnością wielki kosz ze szczęniętami niosące.

— Och mój Boże! toć to dawne paniątko nasze! — krzyknął mimowolnie Dańko całym głosem swych piersi.

Chudy chłopiec obejrzał się, zadrżał, zmieszał i kosz cały na ziemię upuścił. Kilkoro ślepych szczeniątek wypadło z niego, skamląc boleśnie, a nawet jedno zraniło się o grudę i pokrwawiło trochę,

— Cha! na Peruna! — krzyknął łowczy — to Laszę najpiękniejszy z całej psiarni rozbiło nam pomiot.

Jeden z dozorców na te słowa przystąpił i milcząco, ale groźnie spojrzał w oczy winowajcy. Borysław, owo niegdyś tak dzikie, harde, niekarne dziecko, teraz pod tym wzrokiem bezwładnie opuścił ręce, bladość okropna lice mu pokryła i schylił głowę, jak gdyby już w jarzmo dobrowolnie ją poddawał.

Tak wielka pokora nie wzruszyła dozorcy — przeliczył szybkim wzrokiem poszkodowane zwierzątka, odpiął swój pas skórzany, lecz nim wzniesiona do bicia ręka na obnażone prawie plecy nieszczęśliwego chłopca opadła, ktoś do kolan jego się rzucił.

— Ulitujcie się nad nim! — zawołał Dańko — wszak widzicie, że to jest wątłej siły, do pracy nie nawykłe pacholę.

— A tobie co w te sprawy się mieszać? — groźnie ofuknął poganin i odepchnąwszy go zprzed siebie, tem silniejszy raz odmierzył. Borysław jęknął tylko, usunęła mu się noga i przyklęknął jednem kolanem na ziemi — to go zgubiło właśnie, bo węzeł rzemienny, drugim poświstem wracając, trafił go w skronie tak silnie, że biednemu chłopcu świat cały w oczach pociemniał — nie krzyknął,, nie jęknął, lecz westchnął, jakoś głęboko i padł na twarz bez czucia, bez ruchu, nieledwie, że bez życia.

Litwin czy nie spostrzegł tego, czy z naz wyknienia lekceważył sobie, jeszcze trzeci raz uderzył, ale to uderzenie przyjął już na własne barki poczciwy Dańko, który między zagniewanego dozorcę i Borysława się wcisnął.

— Dajcie mu pokój — krzyknął — on nie żyje, wyście go zabili!

Zmarszczył brwi Litwin i pochylił się nad ciało małego jeńca, przez kilka chwil jak gdyby ucha nadstawiał, potem wziął głowę, w twarz popatrzył, w nozdrze dmuchnął.

— Nic mu nic będzie — rzekł, wzruszając ramionami — to śmieszny, śmieszny ten lachowski syn, żeby też ośmiu szczeniąt nie unieść, ani dwóch plag nie wytrzymać. Jeśli okupu nie przyszlą za niego, niech już lepiej nie wstanie zrąd więcej.

— A jeśli ma wstać — odezwał się drugi, który był właśnie zwierzchnikiem Dańka — to niech go sobie Kremata [1]) podejmuje i dogląda, nie ty, mój ptaszku, coś jeszcze zwykłej miary w robocie nie wypełnił.

— Dajcie mi teraz spoczynek, Ryślindzie — odpowiedział mu błagającym głosem — ja przecież nie mogę odstąpić tego chłopięcia, bo to same i nieszczęśliwe, bo to z mego kraju, z mego sioła, bo jego matka była mi kiedyś litościwą i dobrą.

---

[1]) Bóstwo litewskie opiekujące się trzodą chlewną.

— Co mi tam śpiewasz? — niechętnie odrzekł zwierzchnik kamiennego serca — nam trzeba jeszcze tamten kawał obmurowania na kilka mieczy krzyżackich przedłużyć, a na jeden litewski oszczep wznieść; czas krótki, a twoja ręka pilna — próżno się ociągasz, pójdź, pójdź z nami, Lachu.

— Nie, ja pani Kaszubiny syna nie odstąpię — z siłą i godnością niezwykłą Dańko przemówił, widząc zaś gniew iskrzący się w czarnych oczac Ryślinda — nie odstąpię! — powtórzył raz jeszcze — ale wam na Boga mojego przysięgam, że wszystko co mi do czynienia zostawicie, w nocy dzisiejszej wykończę, tylko darujcie mi obecną chwilę — przez pamięć na dzieci wasze, jeśli jesteście ojcem, przez miłość waszej matki, jeśli byliście dobrym synem. Przecież widzicie, że to dziecko — przecież wam powiadam, że ono matkę ma, co tam w kraju daleko smutnie płacze za niem.

Głos Dańka coraz więcej wzruszony był i drżący, znać nawet dzikie serce do głębi przeniknął, bo Ryślind ino coś głową pokiwał, ino coś mruknął, jakby przyzwolenie między zębami, a potem dał znak i wszyscy jeńcy robotnicy odeszli z nim ku stronie, gdzie dalsza czekała ich praca. Dańko sam prawie został z zemdlonym Borysławem, gdyż łowczy i czereda jego pierwej jeszcze się oddalili, a kilku uwijających się posługaczy ani żadnego nie dawali na nich baczenia, ani też dać żadnej nie myśleli pomocy.

Komu by też wtedy nie było przyszło do serca uznanie tej dziwnej sprawiedliwości Bożej, która niepojętym odwetem psów użyła na skarcenie tego, co psami niegdyś sam ludziom dokuczył? Kto by się nad zbiegiem okoliczności nie zadumał, kto nie ucieszył? Dańko — on myślą i zajęciem ma tylko ratunek i orzeźwienie chorego — rozciera mu dłonie, skroń uzbieranym śniegiem chłodzi, u łona swego zdrętwiałe ciało rozgrzewa, aż nareszcie dosłyszał lekkiego westchnienia: Borysław z trudnością rozwarł powieki, spojrzał na swego wybawcę, ale martwym, kołowatym wzrokiem, i znów przymknął oczy, jak gdyby go światło dzienne raziło. Dańko utulił go w zdjętą z siebie sukmanę, wziął na ręce, przycisnął do piersi, ale prócz tego macierzyńskiego prawie objęcia, gdzież innej szukać ochrony? Nędzne mieszkanie Dańka bardzo daleko; w psiarni, gdzie syn Kaszubskiego zwykle teraz przebywa, od wycia i hałasów niema cichego zakątka, niema szczególniej oka, coby go chętnie dojrzało, ręki, coby mu litośnie choć kubek wody podała. Dańko zwłaszcza nad tem przemyśliwał, żeby mógł w nocy nawet Borysława mieć blizko siebie, udał się więc z prośbą do jednego z przechodzących Litwinów, żeby mu dla chorego dziecka w swej chacie, jeśli ją ma blizko, na noc tylko miejsca kawałek wypożyczył — ale biedny Litwin, sam posługacz i bez schronienia, czepiał się zmiennym przypadkiem to murów książęcego zamku, to progu litościwszego bojara, o ile mu co i kiedy wypadło; dobrą jednakże radą wsparł przynajmniej zakłopotanego Dańka.

Jest tam — rzekł mu — niedaleko od nowego muru na wpół zapadła jama, w której kiedyś wajdeloci tutejsi przechowywali święte węże i ropuchy, dziś już pusta, bo przeniesiono wszystko w pobliże świątyni Peruna; mogę wam to zaręczyć. Przeszłego lata nieraz służyła mi za nocleg, a nigdy nic mnie w niej nie zbudziło....

— Ależ tam zimno, wilgotno....

— Cha! mój pieszczony Laszku, zawsze lepiej niż pod gołem niebem, zawsze suszej niż na śniegu i błocie, a ruszywszy ramionami, w swoją poszedł stronę.

Dańko sam nie wiedział, co czynić; Borysław skłonił mu głowę na piersi, oddychał słabo, wolno, a z całej jego postawy poznać można było, że nie wie, nic nie rozumie z tego, co się wkoło niego dzieje.

— Cha! już wolę do psiarni go zanieść — rzekł nakoniec głośno sam sobie Dańko.

Te wyrazy ocuciły prawie Kaszubczyka; podniósł się trochę, oczy mu aż zwiększały przerażeniem, a z ust padły przejęta słowa:

— Do psiarni.... och! nie, nie.... ludzie źli biją.... psy złe kąsają.... och! nie — i drżącemi rękami pochwycił odzież Dańka, jak gdyby chciał przyrość do niego.

Litość rzewna przejęła kmiece serce nad pańskiem dziecięciem; utulał je, pocieszał najłagodniejszym głosem, najtkliwszemi słowami.

— No dobrze, dobrze, ja was tam nie odniosę, moje paniątko, ja ciągle przy was zostanę; czy się nie boicie tej piwnicy, o której Litwin wspominał? To gdzieś w blizkości mojej roboty, będę do was przychodził.

Borysław głową tylko przyzwalający znak uczynił i znowu bez czucia, bez myśli, bez ruchu na rękę mu zawisł.

Dańko lekko złożył swój ciężar i poskoczył za odeszłym Litwinem, żeby od niego lepszej wiadomości o wskazanem miejscu zasięgnąć. Chętnie wyświadczył mu tę przysługę sam biedny, a więc skorszy do pomocy dla biednych człowiek. Nawet w przeniesieniu Borysława dołożył swej ręki, ale kiedy mu już pod sklepieniem ze mchu i zgniłych liści zrobili posłanie, kiedy go jak mogli najlepiej w Dańkową uwi-

*

nęli sukmanę, Litwin jakoś niespokojnie w twarz chorego patrząc:

Tu z nim źle będzie — rzekł półgłosem — już na niejednym podobny skutek widziałem; jeśli mu owa biała twarz mocnym pokraśnieje rumieńcem, niewielka zostanie nadzieja. Radziłbym ci, Lachu, jakich leków użyć.

— Zkądże mnie leki, towarzyszu miły, toć ja nie znam ani ziół, ani słów żadnych, co uzdrowienia moc mają.

— Ale wśród nas są takie niewiasty, którym jedno i drugie nie obce; ja sam o takiej zasłyszałem.

— Wskażcież mi ją, dobry człowieku; natychmiast pobiegnę.

— Daleko zląd, mój bratku, a jeszcze też z próżnemi nie pokazuj się rękoma.

— Zkądże ja biedny jeniec na jaką zapłatę się wzmogę? — rzekł Dańko, załamując ręce.

— Kiedy który z nas tak położyć się musi — odpowiedział posługacz bardzo obojętnie — to drugi, jeśli ma nad nim zmiłowanie, podsuwa się pod bojarską komorę, albo z książęcej trzody co uniesie; Werszeda wszystko przyjmuje.

Dańkowi krew oburzeniem do twarzy się rzuciła.

— Nie, ja kraść nie chcę.... pójdę.... prosić będę, ona się przecież zlituje.

— A jak nie zlituje! — zapytał nawpół zdziwiony, nawpół szydzący poganin.

— To się zlituje Bóg nasz, Ojciec z nieba — cichszym, spokojnym głosem odpowiedział mu Dańko — ja przykazań Jego nie przełamię, kraść nie będę.

— Niechże twój Auschweites [1]) zlituje się odrazu, bo stara Werszeda nigdy jeszcze nad nikim nie pokazała miłosierdzia.

— Rozpowiedz mi tylko, gdzie znaleźć ją można — przerwał mu z niecierpliwością Dańko, i Litwin zaczął rozpowiadać, a rozpowiadał długo, bo Werda mieszkała daleko, za polem, przez kładkę, za rzeką wśród lasu — ścieżki kręte, drzewa stare, chata ledwo widna.

VII.
Pamiątka.

Borysław zasnął snem osłabienia, Litwin przyrzekł czuwać nad nim trochę, a Dańko wskazaną sobie drogą podążył. Zmrok już zapadał na polach, wśród lasu wszystko ciemnieć poczynało, kiedy nakoniec znużony stanął przed chatą Werszedy; chata nizka, ciemna i w tak dzikim stawiona miejscu, jak gdyby umyślnie tam od ludzkiej pogoni zbiegła, tam od ludzkiego ukryła się wzroku. Mimowoli zadrżał Dańko, próg jej przestępując, odchylił drzwi cichuteczko i najpierw blask roznieconego ogniska zalśnił go niespodzianie; lecz gdy mógł już wśród tej jasności wszystkie rozróżnić przedmioty, niemniej wrażenia na jego duszy zrobiło i to, co ujrzał przed sobą.

Tuż przy drzwiach stało kilka niekształtnych posążków, ściany pstrzyły się to rozpiętemi skórami dzikich zwierząt, to ozdobami różnobarwnych piór ptasich, to nawet połyskiem świecących owadów, które niby klejnoty gęsto wśrod tego ponabijane były — lecz co przychodzącemu najpierw w oczy padało, to trzy potwory zaraz naprzeciw wejścia stawione: niedźwiedź kudłaty, ryś z waciągniętymi pazurami i dzik białe kły wyszczerzający. Dańko obejrzał się raz jeszcze. U wielkiego komina siedziała bardzo stara kobieta, pęki ziół leżały na jej kolanach, przy jej nogach, wszędzie dokoła.... Ona jedne z nich w ogień rzucała, inne w wielkie do ognia przystawione naczynie, czasem też z pomiędzy liści uwiedłych wyciągnęła albo nieżywego nietoperza, albo głowę sowią, albo łapę wilczą, albo inne jeszcze dziwo. Opodal nieco za tą kobietą stała jakaś młoda dziewczyna; gdy Dańko pierwszy raz spojrzał na nią, była zlekka nad ziemią schylona, koło spuszczonej ręki owijał się jej w ciemne pierścienie duży wąż, święty zapewne mieszkania Giwojtos [1]), a ona uśmiechem i cichą nutą piosenki przynęcać go się zdawała; obok zaraz leżało wrzeciono i przęślica z kądzielą, znać porzuconą niedawno.

Werszeda przenikliwem okiem mignęła na nowo przybyłego, żadnem go jednak nie ośmielając powitania słowem; przez chwilę głuche panowało milczenie, ale drzwi rozwarte same z siebie skrzypnęły, przymykając się za wpuszczonym gościem. Na to skrzypnięcie młoda dziewczyna podniosła głowę i spojrzała. Ze spojrzeniem krzyk tylko wydarł się z jej piersi; wstała drżąca i blada, wyciągnęła obie ręce, które wąż jakby symbolem więzienia w giętkie swych kręgów zaplątał ogniwa, chciała krok naprzód postąpić, lecz Dańko już był przy niej, on poznany — poznał nawzajem Halinę.

Dopiero wtedy między nich, a tę pierwszą radości, pierwszą powitania się w obcej ziemi chwilę Werszeda cierpkie swoje rzuciły wyrazy:

---

[1]) Bożek wszelkich leków.

[1]) Litwini tak zwali pobożne, w domach przechowywane węże.

Jakiż to cię Kaballs [1]) przywiódł, lacki synu? Czego tu chcesz? już późno, wracaj swoją drogą. a bodajby ci ją wilki przestąpiły....

Dańkowi gniew starej Litwinki przypomniał całą okropność sprowadzającej go przyczyny; żal mu się, żal Haliny zrobiło, i na pytanie Werszedy młodej dziewczynie odpowiedział tylko:

— Wasz brat chory, bardzo chory, w prędkim ratunku nadzieja jedyna. Proście jej za mną o pomoc, a nie trwożcie się zbytecznie, bo dla jeńców i dla sierót jest przecież jeszcze Opatrzność Boża.

Pomimo zastrzeżenia i dodanej otuchy, biedna Kaszubczanka zbladła więcej jeszcze, usta jej posiniały, spojrzała ku Werszedzie i rzekła:

— Czyście słyszeli? czy wiecie?

— Wiem, wiem, zrozumiałam wszystko — przerwała staruszka i umilkła znowu, jak gdyby to nic do niej nie należało.

— Ale mój brat chory — łkającym głosem, choć bez płaczu, odezwała się Halina — miejcie litość, poradźcie, wysłuchajcie.

Werszeda odwróciła się do Dańka i rzekła mu jak najobojętniej:

— Coś przyniósł?...

— Pytacie jeńca, niewolnika, co mógł wam przynieść, kobieto? — a toć ja przyniosłem wszystko, co mi ludzie zostawili — prośbę i łzę moją.

Rozśmiała się zapadłemi usty lekarka.

— Ocho! za takie dary, to ja nic nie kupię i nie sprzedam.

— Zlitujcie się, to mój brat! powtarzała Halina.

— Już dosyć i z tobą mam biedy, co mi tam jeszcze twego brata sobie na kark sprowadzać. Gdyby nie syn mój.... gdyby nie Giwojtos, ty wiesz najlepiej, coby cię spotkało.

Halina z rozpaczą załamała dłonie.

— Dańku, ja przynajmniej pójdę do niego, przypomnę sobie, jak to matka leczyła.... powiedz tylko, co mu jest, ja pójdę.

— Nie pójdziesz — zimno rzuciła jej Litwinka.

— Ach! to jest nikczemnem okrucieństwem — zawołał uniesiony Dańko — dlatego że kto biedny. śmierć jego lekceważyć, dlatego że kto niewolnik, brata mu nie dać widzieć rodzonego!....

— Jaki ty mądry w języku — szyderczo przerwała Werszeda — a czemu to i w ręku tego rozumu nie było? Znam biedniejszych od ciebie, ptaszku, co jednak bez pomocy z tych progów nie wyszli.....

Halina spojrzała ku Dańkowi.

— Co znaczą jej słowa? Może ona chce wysługi jakiej? — z niespokojnością rzekła.

— Nie, ona chce, żeby ubogi kradzieżą jej wynagrodził — smutnie odpowiedział Dańko.

Biedna dziewczyna pojęła, o co rzecz idzie, dwie łzy spłynęły na twarz, jednak stałym odezwała się głosem:

— To być nie może, pójdę; z tobą, niech o reszcie Bóg radzi.

— Nie pójdziesz — znowu twarde jak kamień padło Werszedy słowo.

— A to czemu? lękacie się może, bym nie uciekła, nie zginęła wam w tych lasach przeklętych? Wszakże ja muszę wracać, ja wrócę, prędko nawet, wierzcie mi, prędko wrócę.

— Synowi przyrzekłam, że mu ciebie za żonę wychowam, na swoję córkę prawie, a ja bym tak pod noc ciemną daleko córki nigdy nie puściła, więc i ty zostaniesz, moja Laszko.

Halina z usposobienia lękliwą i nieśmiałą była, jak jej matka, lecz też jak matka w stanowczych chwilach nabierała jakiejś niepojętej odwagi. Teraz, kiedy szło o życie brata, ona drobna, wątła, czternastoletnia dzieweczka, nagle w silnej woli dziewicę urosła. Powoli rozwinęła ciągle do jej rąk przyczepionege węża i niby na zwykłe posłanie, między kudły wypchanego niedźwiedzia złożyła, dostała potem z zakomórka jakiejś przyodziewki i tak gotowa na drogę, przy wejściu śmiało stanęła. Werszedzie zaiskrzyły się tylko oczy, kocim rzutem zerwała się z miejsca i pochwyciła jej ramię, jak w krogólcze szpony, w swoje chude, cienkie, a twardsze od żelaza pałce: Halina krzyknęła, na jej krzyk odpowiedziało przeciągłe syknięcie i z końca izby przypełzły wąż domowy wspiął się na ogonie między Litwinką a jej biedną niewolnicą. Stara kobieta zatrzęsła się, jak spróchniała wierzba.

— On jej broni, on jej zawsze broni! — mruknęła sama do siebie — ale i on nie pomoże na ten raz, choćby jakie nieszczęście spaść miało.

W czasie tej rozterki, Dańko stał naprzemian smutny lub gniewny, niespokojny lub oburzony; nagle myśl jakaś dziwną radością zaświeciła mu w obliczu — była to jak gdyby wielka radość i wielka boleść.

— Och! moja dobra panienko — rzekł, złożywszy niby do modlitwy ręce — toć ja mam czem płacić, tylko tak odrazu w głowie nie postało, bo to pamiątka, zda się przyrosła do serca.

— Och! ja wiedziałam, że mnie każdy musi mieć czem zapłacić — odezwała się Werszeda — pokażno swoję pamiątkę!

Dańko wydobył złote ogniwo.

---

[1]) Złe duchy, do powszednich spraw się mające.

— Ach! to doprawdy złoto! — radośnie wykrzyknęła stara — daj, chłopcze, i mów tymczasem, na co jej brat chory!

Halina ze zdziwieniem patrzyła w oczy Dańka, słów jego ani uczynku wytłumaczyć sobie jeszcze nie mogła. On jej wzrokowi odpowiedział najpierw.

— To jest połowa z królewskiego upominku, kiedy wstąpił na chwilę do chaty wieśniaka, a zostawił w niej po sobie na cały wiek szczęścia.

— I wy dla .Borysława pozbawiacie się tak drogiej wam rzeczy? — ze czcią prawie wymówiła Halina, której wtedy wszystko na pamięci stanęło. Dańko westchnął mimowolnie, lecz:

— Wasz brat bardzo chory — było jedyną jego odpowiedzią, potem do Litwinki zwróciwszy się, już tylko o szczegółach zaszłego zdarzenia wspominał. Nieraz przy jego powieści łza do oka wpłynęła, a krew z lica zbiegła Halinie. Werszeda słuchała bardzo spokojnie, prawie nieuważnie, obracając bez przestanku złociste kółko i świecąc niem pod wszystkie światła migotliwego na kominie płomienia. Gdy skończył, zabrała się nakoniec do pewnych przyborów, ulała z naczynia trochę wywarzonego soku, wyjęła jakiś kubek z tłustością, jakieś szmaty, i znak dała do wyjścia. Halina bez pytania szła za nią; gdy próg przestępowała, znowu się dało słyszeć syknięcie i Giwojtos wzdłuż przed nią się rozciągnął. Pogłaskała go łagodnie Halina i usunęła zlekka, lecz wąż zatoczył kołem i wrócił na miejsce, jak gdyby chciał koniecznie od wyjścia zastąpić.

— Co to jest? — spytała niespokojnie Litwinka.

— On mnie żegna i żałuje — odpowiedziała Halina, a pogłaskawszy raz jeszcze, przeskoczyła zręcznie na drugą stronę, drzwi przywarła i rozstała się z najlepszym swoim, między obcymi ludźmi, przyjacielem.... z płazem.

Przez drogę Dańko musiał raz jeszcze swoje opowiadanie powtórzyć Halinie, lecz je zaczął od chwili jej porwania i przydał do niego smutną osnowę wszystkich dni długiej tęsknoty.

— Teraz nam lepiej będzie — rzekł w końcu — bo ja znalazłem was przecie, a wy znaleźliście panienko, chętną rękę i wierne w dawnym kmiotku serce; panicz wyzdrowieje.:. kto wie? może kiedyś i do kraju wrócimy. Och! mnie z niejednej biedy Opatrzność wydźwignęła, niejednego anioła miałem objawienie....

— Dlatego też im więcej rozważam, jakie dla mego brata zrobiłeś poświęcenie, dobry Dańku, tem większą mi wiarą w duszy, że Bóg musi mieć dla takich czynów i tu na ziemi opłatę.

— Ja mam ją, bo ja taki szczęśliwy, gdy wspomnę, że się wam na coś przydać mogłem, choć biedny. Wtedy, w kościele, panienka pamięta? zdawało mi się, że nigdy do tego nie przyjdzie. — I zaczęli dawne przywodzić wspomnienia, aż się też Dańko spytał, co od czasu zniknięcia i ona robiła.

— Ten sam Litwin, który mnie porwał — rzekła w ojczystym języku swoim, więc pewna iż Werszeda niewiele co z jej mowy zrozumie — ten sam Litwin jest synem tej starej i prosto do niej mnie przywiózł, w głąb lasu, jako widzisz, w dom dziki i przeklęty, jako sam poznałeś. Co za wrażenia zrobiły na mnie udane potwory, łatwo zgadnąć można, a ta Werszeda, która ciągłe czary odprawia, a te ściany osobliwe, jednak ze wszystkiego do dwóch istot największy wstręt czułam: najpierw do Litwina, co mnie wziął w niewolę — zdawał się tu już u siebie dosyć łagodny i dobry, a jednak za każdy raz, co spojrzałem na niego, wracało mi uczucie tej chwili, kiedy bezbronną znienacka porywał, kiedy mi za matką i za moimi w przytłumionym jęku serce się rozdarło; bladłam jak trup. Litwin się śmiał, aż nakoniec gdzieś na ruską pojechał wyprawę i tylko odjeżdżając zlecił swej matce, żeby mnie na żonę jego przez ten czas dobrze chowała, a mnie korali i pięknych nowogrodzkich jedwabiów przywieźć obiecał — szczęściem, nie wrócił dotąd. Po Litwinie najprzykrzejszym dla mnie był ów Giwojtos, z którym dzisiaj mogłeś wielkiej mojej zażyłości dostrzedz. Kiedy pierwszy raz usnęłam pod dachem mojego wroga, spłakanej i zmęczonej Bóg dał na pociechę stron rodzinnych widzenie. Zdawało mi się, że w jawuruskim zamku z podróży matka mnie wita, zarzuciła jedno ramię na szyję moję, ale to ramię było tak zimne, wilgotne, że krzyknęłam i przebudziłam się. Jawurski zamek, dobra matka, wszelkie pociechy z tem przebudzeniem zniknęły, tylko ów zimny uścisk pozostał. Czułam go, jak w martwy pierścień gardło mi objął, i daremnie oczy przecierałam, daremnie nawet z posłania uciekłam, on ciągle był ze mną. Krzyczeć nie mogłam, ale w ostatniej trwodze, cudem prawie na drzwi komory trafiwszy wpadłam do izby, gdzie, jakoś widział, Werszeda swoje leki gotuje. Dniem i nocą, latem i zimą w niej ognisko zawsze rozniecone. Przy świetle poznałam dopiero, że tym uściskiem, co go aż tam z sobą przyniosłam, owinął mnie czarny, duży wąż; nie wiem, co potem stało się ze mną, tylko pamiętam, że mi wszystko pociemniało w oczach, a kiedy znów się rozjaśniać zaczęło, leżałam na ławie, stara Litwinka jakieś mi ziele

tęgie przy skroniach trzymała, jej syn stał u komina i ztamtąd bacznie się wszystkiemu przypatrywał. Werszeda, spostrzegłszy nareszcie, że już zupełnie do siebie przyszłam, zaczęła mnie uspokajać; a jej głos, nie wiem, czy po tak wielkim strachu mi się wydał, czy też istotnie był daleko łagodniejszy, niż od pierwszego słowa powitania do ciemnej nocy słyszałam go w dniu tym nieszczęśliwym.

— Czemu się ty przelękłaś? — mówiła do mnie. — Czyż wy, Laszki nie słyszałyście nigdy, że u nas w domostwach święte chowamy węże? One się nami opiekują, szczęście niosą w zagrodę, od wpływu nieprzyjaciół i złych duchów strzegą. Ty właśnie dziś najspokojniejszym snem zasnąć możesz, kiedy Giwojtos na piersiach ci spoczął. Znać miłem twoje było mu przybycie i dla nas wszystkich jego dotknięciem poświęconą zostałaś. Idź, wróć do łóżka, pokój z tobą, Laszko mała.

Z jej mowy najlepiej zrozumiałam, że mogę wrócić do komory, i wróciłam co prędzej, bo Werszeda stojąc przy mnie, trzymała właśnie na ręku ów gad obrzydliwy, całego przerażenia jedyną przyczynę. Zostawiłam ich razem, a drzwi, czem się dało z mojej strony, tem założyłam, by sobie tak nieznośnych oszczędzić odwiedzin: lecz mój sen, mój piękny sen uciekł niepowrotnie — budziłam się co chwila, zrywałam jak w gorączce, bo ciągle mi się zdawało, że czuję na piersiach i na szyi zimne płazu dotknięcie. Aż też i ranek przyszedł; wstałam, ciesząc się nieledwie tym początkiem dnia, co jednak miał być także dniem niewoli! Wychodzę — przed progiem ten wąż leży; zbierało mi się na krzyk przeraźliwy, ale sama przed sobą zawstydziłam się takiej bojaźni; „te Litwiny z Laszki śmiać się będą“, pomyślałam w duchu; jeszcze tak od pierwszego razu, w nocy i nieświadomej, to ujdzie, lecz teraz lękać się znowu, gdy oni wszyscy na to są spokojni, lękać przy świetle słońca, przy namyśle rozumu, nie, nie trzeba — postanowiłam sobie, i całą zebrawszy odwagę, przeszłam, nawet dość wolno, koło poczwary. Tymczasem Werszeda zastawiła śniadanie, mleko na misce, krupy, chleb; gdym się do jedzenia wzięła, stara niby lekko, a jednak dość gniewnie mnie usunęła na bok i przez zęby dziwne wydawała świśnięcie. Świśnięciu odpowiedziało zwinne przyczołganie się węża, który aż na stół zapełznął i prosto w miskę z nabiałem do połowy głowę zanurzył. Pił, ile sam chciał tylko, dopiero po jego odejściu Litwinka znak dała, że na mnie kolej użycia pokarmu, Byłabym wolała głodem skonać odrazu niż tak zabrzydzonej dotknąć się strawy, a jednak cokolwiek przez dzień cały podano, wszystkiego najpierw Giwojtos musiał skosztować. Trzy dni chodziłam czcza zupełnie, bo nic pożywnego w usta nie wzięłam; syn i matka śmieli się ze mnie, aż ten pierwszy dnia czwartego na łowy pojechał. Zostałam sama ze starą. Ta stara dotychczas mnie nienawidai, ani pojąć mogę dlaczego, lecz wtedy jeszcze gorzej było: wyznaczyła mi tak wiele do zmotowania i uprzędzenia, że przy mojem osłabieniu nie wydążyłam z robotą; kiedy chwila jej odbioru nadeszła, serce mi biło ze strachu, jednak w litości tej kobiety miałam jakąś nadzieję; ona wreszcie lekarka, powinna wiedzieć sama, że mi sił nie staje. Ale znać biada temu, co od Werszedy zmiłowania czeka! Kiedy przekonała się, ile w wyznaczonej robocie zalegałam, straszna złość wstąpiła w jej serce: zaczęła mnie lżyć srodze, nawet rękę podniosła do bicia, gdy nagle wąż świsnął, do pół wzniesiony przed nią stanął i całe żądło, jakby ku mojej obronie, pokazał. Na ten widok Werszeda zadrżała, spuściła rękę i tylko sama do siebie szepnęła to, co dziś także słyszałeś: „On jej broni! on jej broni!“ Wtedy pojęłam dopiero całe znaczenie w pierwszej nocy usłyszanych wyrazów. Zabobonna Litwinka w tych dwóch zdarzeniach widziała jakąś szczególną swego bóstwa opiekę i bała się mnie pokrzywdzić wyraźnie. Ja zaś cichą modlitwą do naszego Boga się wzniosłam, gdyż Jego to wszechmocy przysądziłam ów cud niepojęty, który z okropnego gadu wyciągnął właśnie dla mnie na pociechę i wsparcie. Przyszedł mi na myśl sen mój przerwany — kto wie, czy mi Opatrzność tym sposobem wskazać nie chciała, że w miejsce macierzyńskiego uścisku, Ona wśród złych ludzi dobre przynajmniej zwierzę mi zsyła, abym o Jej opiece nie zwątpiła nigdy. Pod wpływem takiego wrażenia, z mniejszym wstrętem zaczęłam na Giwojtosa patrzeć, i to prawda, że on wyraźnie upodobał mnie sobie. Ile razy Werszeda głośniej krzyknie, ile razy gniewać by się chciała, on tuż przy mnie, nawet za chatą, jako pies mnie się trzyma, a ja mu wzajemnie dogadzać umiem; spostrzegłam, że bardzo śpiew lubi; czasem, jak zacznę śpiewać, jeszcze nasze śliczne krajowe piosenki, to wąż słucha, słucha, a mnie łzy płyną, płyną ku ojczystej stronie, i nam zawsze obojgu najlepiej żyć z sobą.

Domawiając tych słów, Halina musiała oczy obetrzeć, bo tak łez były pełne, jak przy śpiewie tych piosnek, o których wspominała.

VIII.
Pociecha.

Kiedy nakoniec Halina, Werszeda i Dańko przyszli do piwnicy, w której złożony był Borysław, już Litwina nie zastali przy nim. Chłopiec sam leżał, oczy miał rozwarte, i o ile widzieć można było przy wniesionem przez Werszedę światełku, spieczone usta, rozpalone policzki. Z przytłumionem łkaniem rzuciła się ku niemu siostra.

— Borysiu, czy ty mnie poznajesz? — pytała go zcicha — bracie, to ja, Halinka, to ja, siostra twoja.

Chory powtórzył, jakby echem: „Siostra", ale nie poznał nikogo; biedna dziewczynka załamała z rozpaczą ręce i rzekła, jakby na próbę ostatnią:

— A dom nasz, ojca, matkę czy pamiętasz, Borysiu?

— Matka nie kazała bić chłopa — poszepnął z trudnością, i na wszelkie słowa, któremi się do niego odzywała, już nie dał innej odpowiedzi.

Werszeda zgromiła Halinę, że jej zawadza tylko, odepchnęła ją na bok, a sama do chorego przystąpiła. Obejrzała go, jak rzecz martwą, tłuszczem natarła mu głowę i całe boki, wlała do ust przyniesionego wywaru, potem resztę, co zostało w kubkach, oddała Dańkowi.

— Używaj tego, jak ci pokazałam — rzekła; — jeśli dzieciak w nocy od zimna nie zmarznie, to mu jutro lepiej być powinno, a ty nic już nie pomożesz — przydała, zwracając się do Haliny — widziałaś go, to dosyć, teraz dalej ze mną.

— Ja tak brata nie mogę opuścić — błagalnym głosem odpowiedziała jej biedna. — Jeśliście kiedy w życiu cokolwiek kochali, zlitujcie się, zostawcie mnie, ja wrócę, wrócę niezawodnie!

— Ocho! piękna Laszko, tu nie masz świętego węża, coby cię bronił — z okropnie radosnym śmiechem zawołała stara — dalej, dalej ze mną!

— Słuchajcie, kobieto — odezwał się Dańko — uczyńcie zadość prośbie waszej branki a jakiej tylko żądać będziecie wysługi, do takiej jeszcze ja sobie czas znajdę i będę bardziej waszym, niż książęcym niewolnikiem.

Gdybyś ty mi dał trzy razy więcej złota, niż dałeś, ja bym nie przystała na to — odrzekła szyderczo — a trzeba ci wiedzieć, że ja wolę złoto, niż człowieka.

— Więc już nie żądam, byście mnie tu zostawili — zawołała Kaszubczanka do ostateczności przywiedziona, bo dawno znającej Werszedę odrazu w myśli stanęła cała przewaga jej położenia, całe niepodobieństwo nadziei najmniejszej. Nie żądam niczego, pójdę z wami, tylko mi dajcie jeszcze pieśń pobożną do mego Boga zaśpiewać, niech on wasze pogańskie leki oczyści i pobłogosławi.

— Myślisz może, słowiczku, że Giwojtosa na obronę przywabisz? Cha! śpiewaj, psuj gardło, zobaczymy, co na tem zyskasz. — I tak Werszeda przystała dość obojętnie więcej z szydzącą myślą, na odprawienie chrześcijańskiej modlitwy. bo już wówczas na Litwie partej z trzech stron od Rusi, Polski i zakonu, światłością lepszej wiary nieznacznie osłabiało pogaństwo. Zabobony, przesądy jeszcze silnie wszystkich głów się trzymały, ale cześć bogów z wielu serc odpadła i temu lub tamtemu się kłaniać niedziwnem już było w zaniemeńskich krainach. Sam Gedymin potęgą narodów potęgę ich Boga mierząc, zaczął już przemyśliwać, czy by nie lepiej było w takich, jak Polacy kościołach, albo w takich, jak Rusini cerkwiach się modlić? Lecz złość mieczowego zakonu zniechęciła go do świętego wiary naszej znaku; on, Litwin zawzięty, woli ze swoim Perunem walczyć, choćby i zginąć nawet, niż pod godłem krzyża, co na płaszczu niemieckim czernieje, światu całemu panować. Ile sił jeszcze było w litewskim pogaństwie, tyle ich z głębi narodu wywołał i stawił murem obronnym; powiodło się księciu, bo Krzyżacy zadrżeli. Polak rękę do zgody wyciągnął; wielkie miasta lenników za kniaziów pobrały — lecz było to już ostatnie wysilenie. Litwa się wzmogła, wiara litewska osłabła, a że naród bez wiary, jako dach bez podwalin, to też nowej było trzeba religii — i przyniosła ją piękna, biała niewieścia rąka.... ale później.... wy wiecie kiedy.

Teraz przy chorym Borysławie stoi Werszeda, stara litewska guślarka, i bez oburzenia na chrześcijańskie modły przyzwala, bo sama pewną nie jest, czy Auschweites, czy Chrystus więcej siły doda jej lekom.

Dańko smutnie patrzył na ziemiankę swoję, niegdyś ukochaną, wypieszczoną córkę tkliwej matki, dziś biedną brankę, pod rozkazy nienawistnej, bez serca kobiety oddaną.

— Czyż to zawsze tak będzie? — rzekł z boleścią sam do siebie, niby kończąc tem gorzkiem zapytaniem długi szereg w głębi ducha wzniesionych skarg i zażaleń.

— Zawsze! — z przygnębieniem rozpaczy powiedziała Halina — zawsze, chociażby okup przyszedł; oni nie przyjmą okupu.

— Ach, dobra panienko, nam jeszcze mo-

dlitwa została! — dziwnem ożywiony natchnieniem zawołał Dańko.

— Więc módlmy się, módlmy, o zdrowie dla niego, o pociechę dla nas — rzekła pełna wiary, choć pełna zwątpienia.

I uklękli oboje i modlili się niebu jedną prośbą, jednemiż słowy, jako prawdziwe po duszy i nieszczęściu rodzeństwo. Przy końcu pacierza, młoda dziewczyna zanuciła owę cudną pieśń „Boga Rodzica“. Głos jej dźwieczny, czysty jak głos anioła, odbijał się od ciemnych sklepień i rzewnem echem aż daleko między bezlistne ulatał drzewa. Stara Werszeda słuchała go z lubą jakąś tęsknotą, z mimowolnem zamyślneniem, i nie przerywała śpiewu niewolnicy.

Nagle u wejścia zaczerniła się postać kobiety — zrazu niedostrzeżona, cała naprzód podana, w milczeniu dźwięk po dźwięku wytężonem chwytała uchem, jak gdyby wszystkie brzmienia do pamięci i do serca zebrać pragnęła. Gdy się jej oczy z oczami guślarki spotkały, nakazującym tylko wzrokiem i przyciśniętym do ust palcem zapytanie i okrzyk w jej piersiach wstrzymała. Dopiero z ostatniem słowy Haliny, z pierwszą cichości chwilą, zupełnie przeszła pod nizkim zrębem piwnicy i przy zdziwionych niespodzianie stanęła — a była to piękna obliczem, jaśniejąca przepychem, bogatej szaty dziewica.

— Cóż ty jesteś za istota? — rzekła do klęczącej jeszcze Laszki — ty, co nieznanemi słowy zdajesz się witać z ciemną Brekszta[1]), jako z siostrą twą? Możeś ty Austcheją[2]), co uczy drobne ptaszki, wychowańce swoje, żeby piękniej coraz na chwałę bogów i na rozweselenie serc ludzkich śpiewały? Może do mnie umyślnie pieśń swoję przysłałaś, bo ci nie tajnem, że cierpię i płaczę....

Halinie na widok nieznajomej pierwszą myślą było wezwanie pomocy, na jej słowa pierwszem uczuciem — nadzieja.

— Pani, pani! — zawołała ciągle na klęczkach, ciągle złożone trzymając ręce — ja nie wiem o co pytasz.... ja branka, ja nieszczęśliwa! Jeśli masz litość w sercu, a władzę jaką w ręku swych, weź nas w opiekę, żeby cię kiedyś ojcowie i matki nasze błogosławili!

— Któż wy jesteście? cóż ty więc śpiewałaś? — pytała jeszcze dziewica.

— My jeńcy z polskiej ziemi wzięci; ja modlitwę do Boga chrześcijan śpiewałam.

— Polska ziemia! Bóg chrześcijan! — powtórzyła dziewica, i czy dziwnym odblaskiem padło na nią światło trzymanego przez Werszedy kagańca, czy te wyrazy tak wielkie na niej uczyniły wrażenie, ale zdało się, że pod spojrzeniem zmieniają się jej rysy i czoło chmurą zachodzi. — To widocznem jest przeznaczeniem — mówiła dalej, a słowa przerywane, ucięte, jakgdyby jej mimowolnie z myśli uciekały. — Gdzie stąpię, o cobądź wróżby zapytam, wszystko woła — Polska ziemia! Bóg chrześcijan! — więc trzeba Litwę porzucić!

Halina niespokojnie patrzyła w oblicze mówiącej; z tego co słyszała próżno siliła się na wywiedzenie jakiej nowej nadziei, aż piękna Litwinka sama przypomniała sobie, że to głos wołający litości rzucił jej pełnemi dla niej znaczenia wyrazami.

— Nie zawiodłaś się, wdzięczna śpiewaczko — rzekła do Haliny mam w ręku możność, a w sercu chęć szczerą ku wybawieniu cię ze wszelkiej złej doli, powiedz mi tylko, czego żądasz odemnie.

— Tego, czego jej nikt dać nie może — odezwała się Werszeda i wsparła na ramieniu Kaszubczanki dłoń swoją tak silnie, że biedna dziewczyna ugięła się prawie ku ziemi pod jej naciskiem. — To mego syna branka; on z wojny nie przywiózł ani pańskich jedwabiów, ani kościelnych sreber, on ją tylko przywiózł sobie i nikt mu jej nie wydrze teraz.

— Teraz odbierze mu ją wielki kniaź Gedymin — spokojnie lecz dumnie odparła nieznajoma — bo teraz córka jego Aldona[1]) nie da już dłużej czekać posłom lackiego króla i na prośby ich przyzwalającą poniesie odpowiedź. A jutro — ze smętnym uśmiechem ku Dańkowi i Halinie się zwróciła — jutro przez całą Litwę radosny pojdzie okrzyk, że jeńcy w Polsce zabrani wiano młodej królewiczowej opłacą.

— Boże! Boże — zawołał Dańko — Boże, daj mi się nie omylić, co znaczą te słowa.

— Wysłuchał cię Bóg twój, chrześcijaninie, one znaczą, że będziesz wolnym!.... — Dańkowi przypomniał się anioł z jego przeszłości i anioł co w obrazie Piotra więzienie otwierał.

Księżniczka wzięła w opiekę Borysława, Halinę i Dańka. Borysław przy wygodach odzyskał siły i zdrowie — Halina, długie godziny w komnatach Aldony spędzając, pieśnią i łzą słodziła jej rozstania tęsknotę. Dańko opowiedział wszystkie życia swojego zdarzenia, a młoda córa

---

[1]) Brekszta, bóstwo cieniów nocnych.
[2]) Austcheja, opiekująca się ptaszętami.

[1]) Aldona, ze chrztu Anna Gedyminówna, jako świadczą kroniki, namiętnie muzykę lubiła i w Polsce nawet musiała mieć wkoło siebie liników i śpiewaków, co się wielu wtedy jeszcze zabytkiem pogaństwa zdawało.

Gedymina zaufała dobrej przyszłości i odkupiła u Werszedy złote z Kazimierzowego łańcucha ogniwo, na pierwszą świętej miłości pamiątkę. Wrócili wszyscy nakoniec do polskiej ziemi z piękną królewicza oblubienicą. Był to dzień jasny w życiu Dańka, kiedy on, w niewoli obrońca, w trudnej drodze opiekun, przywiódł do Kaszubskiego zamku tak dawno stracone, tak ciągle opłakiwane dzieci. Pani Kaszubska, ledwo podobna do siebie, przyjęła ich łzami rzewnemi, jak gdyby wszelkiej innej zapomniała mowy, uściskiem namiętnym, jak gdyby lękała się jeszcze, czy jej znowu ich nie wydrą.

Sam pan Kaszubski się wzruszył, a gdy wszystko potem od syna i córki usłyszał:

— Powiedz nam, czego żądasz? — ze słodyczą prawie rzekł do kmiotka Dańka; — poświęciłeś swą wolność dla ocalenia Haliny, uratowałeś mego syna Borysława — powiedz, co ci dać możemy? Najpiękniejsze z gruntów naszych pole, najdzielniejszego ze stajni mojej rumaka, najkosztowniejszy ze skarbca mojego klejnot — bierz wszystko, poczciwy Dańku.

— Ja chcę tylko, żeby wasza ręka, dobra Pani, tak mnie przeżegnała, jak wtedy błogosławieństwem — i schylił się Dańko przed Kaszubiną, a ona szczęśliwa, drżąca, z okiem ku niebu wzniesionem, z sercem wdzięcznością przejętem, znacząc czoło i barki młodzieńcze:

— Ja ci błogosławię — rzekła; — byłeś szlachetnym, wspaniałym, dobre za złe oddawałeś, szczęściem za niedolę płaciłeś — ja matka, błogosławię tobie za dzieci moje. W imię Ojca i Syna i Ducha świętego, Amen.

I nie wziął Dańko innej za czyny swoje z pysznego zamku nagrody, ale nagroda prawdziwa czekała go w chacie rodzicielskiej i w najchlubniejszem własnego sumienia świadectwie.

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka.
W Krakowie — czcionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.